





ALEKSANDER DUMAS

NERON

Romans historyczny.

TOM II

Księgarnia M. ST. LEWICKIEJ
BRZEŹ

(...ie)

Wypożyczalnia; L:

E. WENDE I SPÓŁKA WARSZAWA

KRAKÓW, LWÓW, POZNAŃ, GDAŃSK, i WILNO — POLSKIE
TOWARZYSTWO KSIĘGARNI KOLEJOWYCH „RUCH“ SP. AKC.



NERON

Instytut M. St. Lemickiej
BRZEZANY
(Województwo łanopolskie)

Zakłady graficzne
„POLSKA ZBROJNA”
Warszawa

i tkliwie. Przeplłynawszy zatokę, w której chciał ją utopić, przybił do brzegu, na który wysiadła raniona i umierająca, i udał się do willi w towarzystwie Seneki, Borrusa, Sporusa i kilku jeszcze dworzan.

Przeszedł schody krokiem poważnym, jak przystało na zbolełego syna, który ma oglądać zwłoki ukochanej swej matki. Zbliżywszy się potem do korytarza, wiodącego do jej komnaty, dał znak ręką, aby nie szli dalej ci, którzy mu towarzyszyli, zatrzymując tylko Sporusa, jak gdyby nie chciał mieć świadków swej rozpacz. U drzwi stanął na chwilę, wsparł się o ścianę i zasłonił twarz połą od płaszcza, jakby dla ukrycia łez, w istocie zaś dla otarcia potu, spływającego po czole; wreszcie otworzył drzwi nagłym i stanowczym ruchem i wszedł do komnaty.

Agrypina leżała na łożu. Musiał zapewne morderca wszelkich użyć starań, aby na twarzy nie było śladów zbrodni: trwogi, przerażenia, przyśmusu. Zdawało się, że spała; przykrywał ją płaszcz tak, iż tylko odkryta była głowa, część piersi i ramiona, którym śmierć nadała pozór ciemnego, niebieskawego marmuru.

Neron stanął przy łożu, mając zawsze przy sobie Sporusa, którego oczy, bardziej jeszcze nieczule i zimne niż oczy jego pana, patrzyły na trupa z obojętną ciekawością, jak na posąg zwalony z podstawy. Po chwili rozjaśniło się oblicze matkobójcy: wszystkie jego powątpiewania rozwiąły się, wszystkie obawy prysły — teraz świat, władza, przyszłość do niego należą wyłącznie. Nikt nie ośmielił się stanąć przeciw jego potęgze, bo ta, której się najbardziej lękał, z wszelką pewnością nie żyje.

Z nadejściem dnia, w zatoce i na wybrzeżu rozpoczęło się zwykle życie; każdy wziął się do swoich zajęć codziennych, nie przewidując, jak straszne wypadki zaszły podczas nocy. Naraz rozszła się wieść o śmierci Agrypiny, wzbudzając silny niepokój wśród ludności. Mówiono głośno o niebezpieczeństwach, jakich cesarz uniknął i dziękując bogom za jego ocalenie, gromadzono się około stosu, który wyzwoleniec Munster, z pomocą kilku niewolników, układał przy drodze Miżeńskiej, w pobliżu willi Juljusza Cezara.

Wrzawa ta, zgilek i zamieszanie nie dochodziły schronienia, do którego Paweł zaprowadził Akteę. Był to mały, ustronny domek na wysokości przylądka od strony Nizydy, zamieszkały przez rodzinę rybaka. Chociaż Paweł zdawał się obcym w tej rodzinie, posiadał nad nią widoczną władzę; ale posłuszeństwo to nie było bynajmniej niewolnicze, lecz pełne miłości i uszanowania: była to władza ojca nad dziećmi, patriarchy nad sługami, apostoła nad uczniami.

Wyczerpana niezwykle przygodami, Aktea potrzebowała wypoczynku; uległa tedy naieganiom zesłanego przez los opiekuna i zasnęła. Ten zaś siadł przy niej, jak ojciec u łóżnicy dziecięcia, i z okiem w niebo wlepionem, zatopił się w głębokich rozmyślaniach; gdy otworzyła oczy, ujrzała go przy sobie i chociaż z chwilą przebudzenia wszystkie bolesne wspomnienia nią owładnęły, uśmiechnęła się smutnie i szepnęła, wyciągając doń rękę:

— Czuwasz, mój ojciec?

Starzec, obrzuciwszy ją wzrokiem badawczym, zapytał:

— Ty cierpisz?

— Ja kocham — odparła.

Po chwili milczenia, zapytał znowu:

— Czego pragniesz?

— Schronienia, w którym mogłabym myśleć o nim i płakać.

— Czy czujesz się na siłach pójść za mną?

— Idźmy — rzekła Aktea, usiłując powstać.

— Niepodobna w tej chwili, moja córko: jak ty chronisz się przed namiętnością, tak ja przed surowością tych, którzy mnie osądzili; możemy drogę naszą odbywać tylko w ciemnościach. Czyś gotowa pójść ze mną wieczorem?

— Chętnie, mój ojciec.

— I nie zastrasza cię podróż nużąca, długa, ciebie, tak wątłą, tak delikatną?

— Dziewczęta mojego kraju nawykłe są biegać za łanią w najgęstszych lasach i w górach najniebezpieczniejszych.

— Tymoteuszu — rzekł starzec, zwracając się do rybaka — zawołaj Sylasa.

Rybak wziął ciemny płaszcz Pawła, przywiązał go do długiej żerdzi, wyszedł przez drzwi swej chaty i utkwiał żerdź w ziemi.

Znak ten snać postrzeżono niezwłocznie, gdyż niebawem człowiek jakiś zszedł z góry Nizydy w nadbrzeżną dolinę, wsiadł do małej łódki i odwiązawszy ją od brzegu, rącho wiosłował ku przyładkowi; po kwadransie, już przybił do brzegu, o sto kroków od domu, w którym był oczekiwany, a w pięć minut potem ukazał się we drzwiach.

Po miedzianej cerze, po opasującym głowę zawoju, po rysach wyrazistych, można było poznać w nim odrazu syna piaszczystej Arabji. Wszedł w postawie pełnej uszanowania, niemal kornej i pozdrowił Pawła w języku nieznanym. Ten od-

powiedział tym samym językiem słów kilkoro, wyrażających łagodnie jakieś polecenie.

Sylas niezwłocznie przymocował do nóg sandały, ścisnął mocniej powróż, opasujący mu biodra, wziął kij podróżny, ukląkł przed Pawłem, który go pobłogosławił i wyszedł.

Aktea przypatrywała się Pawłowi ze zdziwieniem. Kto był ten człowiek, wydający rozkazy tak stanowczym i tak łagodnym zarazem głosem, którego słuchano, jak władcy i szanowano, jak ojca. Przez czas krótki pobytu swego w pałacach Nerona, poznała uległość we wszystkich postaciach, ale uległość bojaźliwą i niewolniczą, a nie tę ochoczą, skwapliwą, niemal radosną. Czy za tem dwóch jest na świecie cesarów i czy ten, który się ukrywa przed światem, bez skarbów i niewolników, potężniejszym jest od tamtego, co posiada wszystkie bogactwa świata i rozkazuje milionom ludzi?

Przejęta temi myślami, Aktea złożyła ręce na piersiach i zapytała nieśmiało tajemniczego starca:

— O panie, kto jesteś, że ci wszyscy kornie ulegają, a jednak bez najmniejszej obawy?

— Jużem ci powiedział, moja córko: nazywam się Paweł, a jestem apostołem.

— Lecz co to znaczy apostoł? Czy to mówca, jak Demostenes? czy filozof, jak Seneka? U nas wymowę przedstawiają przez wizerunek człowieka, któremu z ust wychodzą złote łańcuchy. Czyli więc krępujesz ludzi swem słowem?

— Słowa moje rozwiązują, a nie krępują — odpowiedział Paweł z uśmiechem.

— Nie rozumiem cię, chociaż władasz moim macierzystym językiem, jak gdybyś był Grekiem.

— Bawilem przez sześć miesięcy w Atenach, a przez półtora roku w Koryncie.

— W Koryncie — powtórzyła Aktea nie bez drżenia. — Kiedyż to było?

— Przed pięciu laty.

— Cóżś porabiał w Koryncie?

— W dni powszednie szylem namioty dla żołnierzy, majtków i podróżnych, nie chcąc być ciężarem dla czcigodnego gospodarza, który mnie przyjął; w dni zaś sabbatu, przemawiałem do ludu w synagodze, nauczając, jak należy żyć, aby osiągnąć zbawienie wieczne.

— Przypominam sobie teraz, żem o tobie słyszała — rzekła Aktea. — Mieszkałeś wówczas w bliskości żydowskiej synagogi, w domu szlachetnego starca, nazwiskiem Tytus Justus?

— Czy go znasz? — zapytał Paweł zżywieniem.

— Jest on przyjacielem mojego ojca — odparła Aktea. — Tak, tak, przypominam sobie teraz dokładnie. Żydzi cię oskarżyli, zaprowadzili do Galljona, brata Seneki, który był prokonsulem Achai. A gdyś przechodził mimo domu naszego, ojciec przyprowadził mię do drzwi i rzekł:

— Patrz, moja córko, oto sprawiedliwy.

— Jakże się nazywa twój ojciec? Jak się ty sama nazywasz?

— Mój ojciec nazywa się Amikles, ja zaś Aktea.

— Imię to nie jest mi obce. Lecz dlaczego rozstałaś się z ojcem? dlaczego opuściłaś Ojczyznę? Jak się stało, żem cię samą i umierającą znalazł na brzegu morskim? Opowiedz mi to wszystko, moje dziecię, moja córko. Jeżeli nie masz już Ojczyzny, ja ci ją przywrócę; jeżeli nie masz ojca, oddam ci go.

— O! nigdy, nigdy nie będę śmiała wyznać ci prawdy...

— Czy jest to tak okropne wyznanie?

— Umarłabym ze wstydu w połowie opowiadania.

— Ja cię ośmielę. Opowiem ci, czem byłem, abyś mi mogła powiedzieć, czem jesteś; wyjawię ci moje zbrodnie, abyś mi wyznała swe błędy.

— Twoje zbrodnie?!

— Tak jest, moje zbrodnie. Odpokutowałem je, dzięki niebu i Pan mi je już odpuścił, jak się tego spodziewam!... Słuchaj więc baczenie, moje dziecię, mam ci bowiem powiedzieć to, o czem żadnego nie masz wyobrażenia, co zrozumiesz kiedyś i co będziesz czciła, gdy raz zrozumiesz.

Urodziłem się w Tarses w Cylicji. Cezar August, wynagradzając moje miasto rodzinne za wierność mu okazaną, nadał jęgo mieszkańcom tytuł rzymskich obywateli, rodzice więc moi, oprócz bogactw, jakie posiadali, cieszyli się nadto znakomitemi przywilejami, związanemi z obywatelstwem stolicy świata. Tam to nauczyłem się greckich umiejętności, które kwitły u nas prawie jak w Atenach. Potem ojciec mój, który był Żydem z sekty Faryzeuszów, posłał mię do Jeruzalem, abym się tam ćwiczył w zakonie, pod kierunkiem Gamaljela, znakomitego znawcy prawa mojżeszowego. Wtenczas nie nazywałem się Pawłem, lecz Saulem.

Był w owym czasie w Jeruzalem młodzieniec starszy ode mnie o dwa lata. Zwano Go Jezusem, to jest Zbawicielem, i opowiadano cuda o Jego urodzeniu. Anioł objawił się Jego Matce, pozdrowił Ją Bożem imieniem i zwiastował, że wybraną została między niewiastami do wydania

na świat Mesjasza. Wkrótce potem Dziewica ta zaślubiła starca, nazwiskiem Józef, który poznawszy stan Jej, chciał Ją pokryjomu odesłać do domu, aby uniknęła niesławy.

A gdy tak myślał, Anioł Pański ukazał mu się we śnie, mówiąc:

— Józefie, synu Dawidowy, nie obawiaj się przyjąć Marji, Małżonki twej, albowiem co się z Niej narodzi, będzie z Ducha Świętego. I stało się, że w oneż dni wyszedł edykt cezara Augusta, aby popisano wszystką ludność państwa. Szli tedy wszyscy, aby ich zapisano, każdy do miasta swego. Szedł też i Józef z Galilei z miasta Nazyretu, do Judzkiej Ziemi, do miasta dawidowego, które zowią Betleem, przeto iż był z domu i z pokolenia dawidowego, aby był popisan z Marją, poślubioną sobie Małżonką, która była brzemienną. I stało się, gdy tam byli, że porodziła Syna pierworodnego, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie stajennym, bo miejsca dla nich nie było w gospodzie. A wówczas pasterze tejże krajiny czynili nocne straże nad trzodą swą. I oto Anioł Pański stanął podle nich, jasność Boża ze wszech stron ich oświeciła. Ulękli się wielką bojaźnią. I rzekł im Anioł:

— Nie trwóźcie się, bo oto powiadam wam wesele wielkie, iż się narodził światu całemu Zbawiciel, w mieście dawidowem. Idźcie, a znajdziecie Niemowlątko owinięte w pieluszki i położone w żłobie.

Wnet z onym Aniołem przybyło wiele zastępów niebieskich, chwalejących Boga i mówiących:

— Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

I gdy odeszli Aniołowie oni do nieba, pasterze mówili jeden do drugiego:

— Pójdźmy aż do Betleem, a oglądajmy to Słowo, które stało się Ciałem i które nam Pan oznajmił.

I przyszedli kwapiąc się, i znaleźli Marię, Józefa i Niemowlątko, leżące w żłobie.

Albowiem Pan Niebios pojrzał na ziemię i zobaczył, że czas odnowienia świata już nadszedł. Świat bowiem cały, świat taki przynajmniej, jaki znali poganie, jednej ulegał władzy. Tyr i Sydon runęły na słowa proroka; Kartago zaległa gruzami piaszczyste doliny swych pustyń; Grecja podbita; Gallia zwyciężona; Aleksandria zamieniona w kupę popiołów. Jeden człowiek stu rozkazywał prowincjom, przez usta swoich prokonsulów, świat cały bodło ostrze miecza, którego rękojeść była w Rzymie.

Mimo jednak tej pozornej potęgi, chwiał się i trząsał na swej glinianej podstawie pogański budynek: znużenie jakieś powszechne świadczyło, że świat stary nosi w sercu chorobę, że przesilenie nadchodzi, że rychło zajaśnią rzeczy nieznanne i nowe. Albowiem nie było sprawiedliwości, przemagała potęga; nie było ludzi, przemagali niewolnicy; nie było religji, była mnogość bogów. Owóż, jakem ci już powiedział, poprzedził mnie Człowiek z Jeruzalem, który mawiał do moich: — Nie czyńcie nic nad to, co wam rozkazano. — Do bogaczy mówił: — Kto ma dwie szaty, niech jedną odda temu, który niema żadnej. — Do panów: — Dobra ziemskie są dla silnych, ale niebieskie dla słabych. — A do wszystkich: — Bogowie, których czcicie, są fałszywymi bogami, a jeden jest tylko Bóg wszechmocny, który stworzył świat. Ten Bóg jest moim Ojcem, albowiem jam jest Mesjasz, którego wam pisma zapowiedziały.

Ślepy i głuchy, na ten głos święty zamknąłem oczy i uszy, albowiem oślepiła mię zawiść; ona to sprawiła, że stałem się żarliwym prześladowcą Boga-Człowieka, którego dziś jestem apostołem niegodnym ale wiernym.

Pewnego razu, dzień cały łowiłem z Piotrem ryby na jeziorze Genezareth, a połów był bezowocny. Wówczas Jezus przyszedł nad brzeg, otoczony tłumami ludu, nauki Jego chciwemi. Ponieważ łódź Piotra była przy brzegu, Jezus wszedł do niej i usiadłszy nauczał lud, który go słuchał uważnie; a gdy skończył, rzekł do Piotra:

— Wypłyn na wielką wodę i zarzuć tam sieci.

A Piotr Mu odpowiedział:

— Panie, pracowaliśmy dzień cały bez skutku, jakżebyśmy tym razem mieli być szczęśliwsiymi?

— Czyń, com powiedział! — rzekł Jezus.

I Piotr zarzucił swe sieci w miejscu wskazanem i złowił taką mnogość ryb, iż sieci omal się nie zerwały. To widząc Piotr, Jakób i Jan, synowie Zebedeusza, upadli na kolana i wyznali, że zaiste cudu dostąpili. I rzekł im Jezus:

— Wstańcie i uspokójcie się. Już teraz nie ryby, lecz ludzi łowić będziecie.

A wyszedłszy na brzeg, powiódł ich z sobą.

Zostawszy sam, pomyślałem: Dlaczegożbym nie miał znaleźć ryb tam, gdzie je inni znaleźli. — Ale dziesięć razy zarzucałem sieci tam, gdzie oni je zarzucali i dziesięć razy wyciągałem je puste. Wówczas zamiast uznać, że Jezus istotnie jest posłannikiem Boga, jam pomyślał, iż jest On czarnoksiężnikiem i wielką zawiść w sercu ku Niemu uczułem.

Wkrótce Jezus opuścił Jeruzalem i udał się nauczać po całej Judei. Jużem był o Nim przepomniał, gdy dnia pewnego, kupcząc podług zwy-

czaju w kościele, dowiedzieliśmy się, iż wraca, większą jeszcze niż przedtem chwałą okryty. Uleczył On paralityka, przywrócił wzrok ślepemu w Jerycho, wskrzesił młodzieńca w Naim. Wszędzie więc, gdzie przechodził, lud rozścielał Mu płaszcze pod nogi, a uczniowie towarzyszyli Mu, niosąc palmy i chwaląc głośno Pana za cuda.

Wśród tego to orszaku szedł On ku kościołowi Bożemu i wypędził zeń kupczących mówiąc:

— Napisano jest, że dom mój, domem modlitwy zwan będzie, a wyście go uczynili jaskinią lotrów.

Chcieliśmy zrazu opierać się, ale wnet postrześliśmy, że to było niepodobieństwem, bo niezliczone rzesze ludu były wpatrzone w jego usta, z uwielbieniem dla tego, co mówił. Wtenczas to ocknęła się dawna moja niechęć ku Jezusowi, którą gniew nowy podżegał; zawiść stała się nie nawiścią.

Rychło potem dowiedziałem się, że w wieczór Paschy, którą Jezus pożywał z uczniami, z rozkazu arcykapłana, przytrzymała Go rzesza zbrojnych, prowadzona przez Judasza, jednego z uczniów Jego; że został zawiedzion do Pilata, który wybadawszy, iż był z Nazaretu, odesłał Go do Heroda, pod którego władzą była Galilea. Ale Herod, nie znalazłszy nic przeciw Niemu, chyba tylko, iż się nazywał królem żydowskim, zwrócił go Pilatowi, który przyzwawszy kapłanów, doktorów i lud, rzekł im:

— Przedstawiliście mi tego czleka, jako podżegającego lud do rokoszu, lecz ani Herod, ani ja nie znaleźliśmy, by był zbrodni tej winien. Gdy więc zbrodniarzem nie jest, każę Go tylko ochłostać i puszczyć wolno.

Ale tłuszcza krzyczała:

— Dziś święto Paschy, a zwyczaj chce, iżbyś uwolnił jednego winowajcę. Owóż daj na śmierć tego, a uwolnij nam Barabasza.

I byłem w tej tłuszczy, i krzychałem całą siłą mej nienawiści:

— Daj na śmierć tego, a uwolnij nam Barabasza!

Piłat przemówił znowu do zgrai, domagając się życia Jezusa; ale zgaja odpowiedziała:

— Ukrzyżuj Go! ukrzyżuj!

I byłem jednym z głosów tej zgrai i krzychałem, ile mi sił stało:

— Ukrzyżuj Go! ukrzyżuj!

Wreszcie Pilat rozkazał wypuścić Barrabasza, a Jezusa na śmierć krzyżową skazał.

Niestety! niestety! — mówił starzec, padając twarzą na ziemię — niestety! O Panie, przebacz mi... Poszedłem za Tobą na Kalwarię i widziałem, jak Ci ćwiekami przebito ręce i nogi. Widziałem cios włóczni w Twym boku i jak goryczą żółci gasiłeś pragnienie. Widziałem, jak niebo powlekło się ciemnością i jak się słońce zaćmiło i jak zasłona świątyni rozdarła się w połowie. Słyszałem głos Twój, Panie, wołający:

— Ojcze! Ojcze! składam duszę moją w Twe ręce...

Uczulem, jak na ten głos zatrzęsa się ziemia w posadach!... Albo raczej nic nie widziałem, nie słyszałem, nie czulem, gdyż, o Panie, byłem ślepy, głuchy, odrętwiały... O Panie, Panie, przebacz mi — moja wina, moja wina, bardzo ciężka moja wina!

I starzec pozostał czas niejaki leżąc czołem w prochu, modląc się cicho i jęcząc, gdy tymczasem Aktea przypatrywała się ze zdumieniem tej

rozpaczy i pokorze człowieka, którego za tak potężnego uważała.

Powstał nakoniec i rzekł:

— To jeszcze nie wszystko, moja córko. Nie nawiść moja ogarnęła także uczniów Proroka. Zając opowiadaniem Słowa Bożego, wybrali oni z pomiędzy siebie siedmiu djakonów dla rozdawania jałmużny. Lud pochwylił jednego z tych djakonów, zwanego Szczepan i powiódł go przed Radę, gdzie fałszywi świadkowie oskarżyli go o bluźnierstwa przeciw Bogu, Mojżeszowi i jego prawu. Szczepan został osądzony; wnet rzucili się nań prześladowcy, wywlekli za bramy Jeruzalem, aby go tam ukamienować wedle prawa o bluźniercach. Byłem w liczbie tych, którzy domagali się śmierci pierwszego męczennika. Nie rzucałem wprawdzie kamieni, ale pilnowałem płaszców tych, którzy kamienie rzucali. Ach! i mnie bezwątowania obejmowała modlitwa świętego męczennika, gdy zawołał w tem najszczytniejszem, a nieznanem aż do Jezusa Chrystusa, zapomnieniu wszeikiej swej krzywdy:

— O Panie, Panie, odpuść im grzech ten, bo nie wiedzą, co czynią!

Już atoli chwila łaski zbliżała się ku mnie. Naczelnicy synagogi, widząc mój zapal w prześladowaniu młodego Kościoła, posłali mię do Syrii, abym tam chwytal chrześcijan i sprowadzał ich do Jeruzalem. Szedłem ponad brzegami Jordanu od rzeki Joher aż do Kafarnaum. Ujrzałem znówu brzegi jeziora Genezareth, gdzie się odbył ów połów cudowny. Znalazłem się nakoniec u łańcucha Hermon, zawsze zajadły w swej zemście, gdy dochodząc do wierzchołka góry, skąd rozlega się widok na dolinę Damaszku i dwadzieścia siedm rzek ją skrapiających, uczułem się nagle jakby

uderzony i otoczony światłem niebieskiem. Padłem na ziemię, jak martwy i słyszałem głos mówiący:

— Saulu! Saulu! dlaczego mię prześladujesz?

— O Panie — rzekłem drżący — kto jesteś i czego chcesz ode mnie?

— Jestem — odpowie głos — Jezus, którego prześladujesz i chcę cię użyć do rozszerzania słowa mojego, ciebie, coś je dotąd usiłował przytłumiać.

— Panie — odpowiedziałem bardziej jeszcze drżący i przerażony niż przedtem — Panie, cóż mam czynić?

— Powstań i udaj się do miasta.

Ludzie, którzy mi towarzyszyli, równie jak ja byli przerażeni, bo głos silny uderzał ich uszy, a nie widzieli nikogo; nakoniec, gdy nic już więcej nie słyszałem powstałem i otworzyłem oczy. Otaczała mnie noc najczarniejsza. Byłem ślepy. Wyciągnąłem więc ręce i rzekłem do towarzyszy:

— Prowadźcie mię, bo nie widzę.

Jeden z mych służebników wziął mię za rękę i powiodł do Damaszku, gdzie przepędziłem trzy dni, nie jedząc i nie pijąc.

Trzeciego dnia zbliżył się do mnie jakiś człowiek, którego nie znałem, wiedziałem jednak, że się nazywa Ananjasz, wziął mnie za rękę i rzekł:

— Saulu, mój bracie, Jezus, Syn Boży, który ci się w drodze ukazał, przysłał mnie do ciebie, abyś odzyskał wzrok i został przejęty Duchem Świętym.

Wnet jakby skorupa z oczu mi spadła i przejrzałem. Upadłem na kolana i prosiłem o chrzest święty.

Odtąd tak żarliwy w wierze, jak dawniej żarty w nienawiści, przeszedłem Judeę od Sydo-

nu aż do Arad, od góry Seir aż do potoku Beżer; przebiegłem Azję, Bitynję, Macedonję; widziałem Ateny i Korynt, byłem na Malcie i w Syrakuzie; stamtąd idąc ponad brzegiem Sycylii, zaszedłem do portu Puzzoli, gdzie bawię od dni piętnastu, oczekując na listy z Rzymu, które mię wczoraj doszły. Listy te są od braci, którzy mię wzywają. Dzień triumfu nadchodzi, a Bóg toruje nam drogę, — nadzieja z jednej strony, a szaleństwo z drugiej, podkopują świat stary u podstawy i u szczytu.

— O ojcie — zawołała Aktea — widzę, żeś święty, że twa dusza gardzi starożytną wiarą mych ojców, że się wzdrygasz na wspomnienie władcy świata: jakże ci zdołam wyjawić stan serca mojego!

— Cóż mieć możesz wspólnego z tym krwawym człowiekiem? — zapytał zdziwiony.

— Mój ojcie — mówiła Aktea, ukrywając twarz w dłoniach — tyś mi opowiedział swoje życie i żądasz wzajemian zwierzchności ode mnie. Jestem nad wyraz występna... Jam kochanka Nerona!

— Wtem widzę błąd tylko, moje dziecię — rzekł Paweł.

— Ale ja go kocham — kocham ponad wszystko na świecie.

— Zaiste — szepnął — to grzech ciężki.

Poczem ukląkł i zaczął się modlić.

II

Nadeszła noc. Paweł narzucił płaszcz, ozuł sandały, wziął kij i zwrócił się ku Aktei. Była już gotowa do drogi. Nie pytała się wcale, dokąd ją zaprowadzi, pragnęła tylko jak najdalej usunąć

się od Nerona. Okropne przygody i trwoga, jakiej dnia poprzedniego doznała, utwierdziły ją jeszcze w tem postanowieniu. Czuła jednak, że gdyby ujrziała tego człowieka, który tak silnie zapanował nad jej sercem, wszystkoby się skończyło. Jej miłość wzmogłaby się, pochłonęłoby ją to życie burzliwe, jak ocean ciche wody strumienia. Dla niej bowiem, mimo wszelkiej oczywistości, kochanek był zawsze Lucjuszem, a nie Neronem; zwycięzca igrzysk i cesar byli to dwaj ludzie całkiem różni, a jej własne istnienie jakby w dwóch toczyło się sferach, z tych jedną była miłość jej dla Lucjusza, której całą prawdę czuła w swem sercu; drugą miłość Nerona, która snem się jej tylko okropnym zdawała.

Wyszedszy z chaty, zwróciła oczy ku zatoce, w której tak niedawno doznała straszliwych przygód. Wody jej były teraz ciche, a światło mizeńskie latarni sięgało aż na brzeg przeciwległy. Spozstrzegła ciemną masę drzew, otaczających Bauli i myśląc, że tam znajdował się Lucjusz, zatrzymała się wzdychając. Paweł czekał na nią przez chwilę; potem, zbliżając się ku niej, zapytał łagodnie:

— Zostajesz, moja córko?

— Ojcze — odparła, nie śmiąc wyznać przed starcem uczuć, jakie ją zatrzymywały — wczoraj opuściłam Nerona z matką jego, Agrypiną; okręt, na którym płynęłyśmy, rozbił się; ratowałyśmy się obie i rozstałam się z nią w chwili, gdy łódź pospieszyła jej z pomocą. Przed opuszczeniem tych brzegów, chciałabym się dowiedzieć, co się z nią stało.

Paweł wyciągnął rękę ku willi Juljusza Cezara i ukazując wielką lunę, jaśniejącą między jej zabudowaniami a drogą Mizeńską, rzekł:

- Czy widzisz ten płomień?
- Widzę — odparła.
- To jej stos płonie.

I jakby był pewny, że te słowa rozproszą wszelkie wahania dziewczęcia, udał się w drogę nie mówiąc nic więcej. Jakoż Aktea poszła za nim z widoczną rezygnacją.

Szli pewien czas ponad brzegiem morza, przebyli Puzzoli, potem zwrócili się ku Neapolowi, lecz minęli miasto, i udali się drogą do Kapui. Około pierwszej po północy, spostrzegli Atellę. Tu oczekiwał ich Sylas. Starzec zamienił z nim słów kilka, poczem wszystko troje ruszyli przez pola i wkrótce przybyli do odosobnionego domu, w którym widocznie na nich oczekiwano, na pierwsze bowiem stukanie Sylasa, drzwi się otworzyły.

Cała rodzina, wraz ze służbą, zgromadzona była w wytwornem atrium. Gdy Paweł ukazał się na progu, wszyscy klękli. On wznosił ręce i błogosławił. Pani domu powiodła go do triclinium i z nim zasiedli do zastawionej wieczerzy, sama umyła nogi apostołowi. Aktea, nieznająca nowej religii, ogarnięta najsmutniejszymi myślami, prosiła, aby jej dozwolono się oddalić. Zaraz też młode dziewczę, osłonięte jak westalka, powiodło ją do swej komnaty, gdzie jej przyniesiono posiłek.

Akteę dziwiło tu wszystko. W domu jej ojca chrześcijan nazywano sektą szalonych marzycieli, którzy roją o niedoścignionych rzeczach; na dworze zaś cezara utrzymywano, że są to ludzie bezbożni, przewrotni, oddani najohydniejszemu praktykom, dla których niema dość surowej kary. Dzień zaledwie upłynął, jak poznała Pawła i chrześcijan, a krótki ten czas obalił te potworne mniemanie. Poznała, że są to ludzie pełni miłości i poświęcenia, odrazu też poczuła przekonanie dla

wiary, nakazującej wspierać biednych, otaczać opieką nieszczęśliwych, nakazującej nadto przebaczać krzywdy i modlić się za krzywdzicielami...

Nazajutrz, również nocą, znowu udali się w podróż. Tym razem droga była dłuższą. Zostawili po prawej ręce Kapuę i zatrzymali się na brzegach Volturnu. Po chwili z malej zatoki wypłynęła łódź. Paweł, porozumiewszy się z prowadzącym ją wioślarzem, wszedł do niej z Akteą i chciał zapłacić wioślarzowi, ale ten nie przyjąwszy zapłaty, padł na kolana, ucałował kraj szaty apostoła i długo jeszcze pozostawał w postawie modlącej, chociaż starzec już się oddalił.

Okolo trzeciej po północy, do podróżynych przyłączył się ich wczorajszy przewodnik, który i dziś wyszukał dla nich schronienie. Była to uboga chata, w której znaleźli tylko kęs twardego chleba, ale podany serdecznie i szczerze. Przyjął ich człowiek ze znamieniem niewolnictwa na czole, z żelaznemi obręczami na szyi i nogach. Był on pasterzem bogatego właściciela willi, wypędzał w pole tysiące owiec, a nie miał nawet skóry baraniej do okrycia grzbietu od zimna. Powitawszy gości, wskazał im na stole chleb i wodę, potem usłał w kącie izby łoże z trzciny i wrzosu. Gościńność jego więcej z pewnością miała zasługi w oczach Pana nad pany, niż wyszukana gościńność bogacza.

Paweł usiadł przy stole z Akteą, a gospodarz, uczyniwszy dla nich wszystko, na co się mógł zdołać, udał się do izby przyległej, gdzie się niebawem rozległy łkania i jęki. Aktea oparła rękę na ramieniu Pawła i rzekła:

— Czy słyszysz, ojcze?

— Słyszę, moja córko, płaczą tam łzami gorzkimi, ale zasmucony pocieszon będzie.

Po chwili powrócił gospodarz i nie rzekłszy słowa, usiadł w kącie izby, oparł ręce o kolana, a twarz ukrył w dłoniach.

Aktea widząc go tak przygnębionym, tak smutnym, uklękła przy nim i szepnęła:

— Niewolniku, dlaczego nie zwierzysz się apostołowi? Znalazłby on może jaką pociechę na twój smutek, jaką ulgę dla twęj boleści.

— Naszego smutku, naszej boleści nie można ukoić słowami — odparł.

— O człowieku wątłej wiary — rzekł Paweł wstając — dlaczego wątpisz? Czy nie są ci znane cuda Chrystusa?

— Znam je, ale Chrystus już umarł — westchnął niewolnik, wstrząsając głową. — Żydzi ukrzyżowali Go i jest teraz w niebie, po prawicy Ojca swojego. Niech będzie imię Jego błogosławione!

— Alboż nie wiesz — rzekł Paweł — że On przekazał władzę swą apostołom?

— Moję dziecię, moje biedne dziecię!... — załkał niewolnik, nie odpowiadając starcowi.

Głuchy jęk dał się słyszeć w izbie przyległej, jakby echo tego wybuchu boleści.

— O mój ojczy — rzekła Aktea, zwracając się do Pawła — jeżeli możesz przynieść ulgę tym nieszczęśliwym, uczyni to, błagam cię, bo chociaż nieznane mi są przyczyny ich rozpacz, ona mi duszę rozdziera. Spytaj się go, co mu jest, może się zwierzy przed tobą.

— Wiem, co go trapi — westchnął starzec — braknie mu wiary.

— Jakże mam wierzyć? — zawołał niewolnik — czego się mam spodziewać? Całe moje życie było jednym pasmem boleści; od najmłodszych lat, aż do siwego włosa nie doznałem chwili radości.

Gdyin pojął małżonkę, zostałem ojcem dziecięcia kalekiego i niemego. Ale chociaż zostało ono gniewem niebios dotknięte, kochaliśmy je całym sercem. I oto dziecię nasze sprzedano wczoraj tym nikczemnikom, którzy ludzką niedolą frymarczą; którzy wiedząc, co może przynieść ułomność, wzbogacają się, każąc żebrac dla siebie na placach Rzymu nieszczęśliwym; codziennie otwierają im rany, kaleczą ciało, aby ono wciąż się jątrzyło... I jutro, jutro porywają moje dziecię na te męczarnie, uprowadzają to biedne niewiniątko, które niema nawet głosu do uskarżenia się, do wezwania naszej pomocy, naszego przekleństwa na katów krwi naszej!...

— A gdyby Bóg uleczył twe dziecię? — zapytał starzec.

— O! wtenczas zostawionoby je nam — zawołał niewolnik — bo ci nikczemnicy sprzedają i kupują jego nędzę, jego niedolę, jego kalectwo. Gdyby chodziło i mówiło, byłoby to dziecię, jak wszystkie inne dzieci, i miałoby wartość dopiero, zostawszy człowiekiem.

— Zaprowadź mnie do niego — rzekł Paweł.

Niewolnik powstał, spojrzał na apostoła ze zdumieniem, promień nadziei zajaśniał w załzawionych oczach. Ulegając rozkazowi, otworzył drzwi i wprowadził starca do sąsiedniej izby. Tam, na słomie na ziemi rozesłanej, siedziało pięcioletnie dziecko, głuche i nieme, a obok leżała matka, podobna do posągu rozpacz.

Oblicze apostoła przybrało wyraz skupienia. Wzniósł oczy ku niebu i przez czas pewien stał zatopiony w modlitwie. Potem wyciągnął rękę ku dziecięciu i rzekł:

— W imię Boga żywego, który stworzył niebo i ziemię, powstań i mów!

I stał się cud... Dziecię wstało i zawołało wyraźnie:

— O Panie! Panie! niech święte imię Twoje będzie błogosławione!

Matka wydała krzyk radości, ojciec padł na kolana.

Paweł zaś, zwracając się do Aktei, szepnął:

— Oto rodzina niewolników, której szczęścia pozazdrościłby najmożniejszy na ziemi.

Nocy następnej udali się znowu w drogę i przybyli do Fondi. Tak to podczas tych nocnych i tajemniczych podróży, Aktea oglądała znowu te wszystkie miejsca, które dawniej przebywała z Neronem. W Fondi, jak wiemy, cezara przyjmował Galba, ów starzec, któremu wyrocznia obiecywała panowanie; widok jego przypominał Neronowi tę wyrocznię. Natychmiast tedy po powrocie do Rzymu, usunął Galbę z Italji, wysyłając go do Hiszpanji jako wielkorządcę. Galba chętnie się tam udał, czując się bezpieczniejszym w oddali od cezara. Przed wyjazdem wyzwolił najwierniejszych swych niewolników i właśnie u jednego z tych wyzwoleńców, Sylas przygotował spoczynek dla starca i Aktei.

Niewolnik ten był ogrodnikiem i otrzymał w darze od swego pana w dzień wyzwolenia mały domek, położony we wspaniałych ogrodach. Z okien domku ujrzała Aktea przy blasku księżyca willę, w której mieszkała z Lucjuszem. Jedną z tych dwóch podróży była dla niej sennem marzeniem. Ileż podczas niej poznała rzeczy nowych, ileż przebyła złudzeń, ile doświadczyła rozczarowań i boleści... W przeciągu krótkiego czasu wszystko się dokoła niej zmieniło. Kwitnące niegdyś dawno ogrody, po których się przechadzała z Neronem, zwiędły i opustoszały: tak samo zwiędło

jej życie, rozwiała się rozkosz, pozostała tylko w jej sercu miłość zawsze silna i płomienna.

Trzy dni, a raczej trzy noce jeszcze bez przerwy podróżowali, kryjąc się, gdy dzień zajaśniał i udając się znowu w drogę, jak tylko ciemność okryła ziemię; przewodniczył im zawsze Sylas, za trzymywali się na spoczynek u chrześcijan, nowa bowiem wiara bujnie się krzewiła, zwłaszcza między niewolnikami i ludem. Trzeciego wieczora opuścili Welletri, tę starożytną stolicę Wolsków, która widziała śmierć Korjolona i narodziny Augusta. Gdy księżyc wypłynął na firmament, stanęli na wierzchołku góry Albano. Tym razem Sylas szedł z nimi, wyprzedzając ich o jakie trzysta do czterystu kroków. Zbliżywszy się do grobu Askaniusza, zatrzymał się, a gdy się z nim połączyli, wyciągnął rękę ku stronie, w której jaśniały światła nieprzeliczone i słyszeć się dawał gwar wielki i rzekł krótko:

— Rzym!...

Paweł upadł na kolana, dziękując Panu, iż go po tylu niebezpieczeństwach przywiódł do kresu podróży. Aktea zaś, na widok stolicy świata, musiała się wesprzeć o grobowiec, nogi się bowiem pod nią zachwiały od nawału wrażeń, jakie ją ogarnęły. Potem zwracając się do Pawła, rzekła:

— Ojczel! jam szła za tobą nie pytając, dokąd idziemy; lecz gdybym wiedziała, że do Rzymu... zdaje się, że nie miałabym odwagi.

— Nie idziemy do Rzymu — odparł starzec.

Po chwili ukazała się na drodze Appijskiej gromada jeźdźców. Sylas tedy zszedł na bok, udając się prawą stroną doliny, a Paweł i Aktea udali się za nim w milczeniu.

Szli między drogami Łatyńską i Appijską, z których pierwsza wiodła do Morina przy jezior

rze Albano, druga do świątyni Neptuna przy Anstium. Po dwóch godzinach, zostawiwszy po prawej stronie świątynię Fortuny, a po lewej Merkurę, weszli w dolinę Egerji i postępowali czas pewien ponad brzegiem rzeczki Almon; potem zwróciwszy się znowu na prawo, mijali rzędy brył skalistych, zdających się oderwanemi od góry jakimś potężnem wstrząśnieniem i nagle znaleźli się u wnijscia do jaskini.

Sylas wszedł zaraz do niej, wzywając za sobą cichym głosem towarzyszy; ale Aktea wzdrygnęła się mimowoli na widok tego ciemnego otworu, który się zdawał paszczką jakiejś bestji. Paweł uczuł na swem ramieniu jej rękę, jakby go chciała zatrzymać; zrozumiałwszy jej obawę, rzekł:

— Nie lękaj się, moja córko, Pan jest z nami.

Aktea westchnęła, spojrzała raz jeszcze na niebo usiane gwiazdami i weszła ze starcem.

Po przejściu kilku kroków w tak głębokiej ciemności, że tylko głos Sylasa był wskazówką kierunku, ten ostatni zatrzymał się u podstawy podpierającego sklepienie filaru, wydobyl krzesiwo, skrzesał ognia, zapalił od niego pochodnię, wydobytą z wydrążenia w skale i rzekł:

— Jużemy teraz bezpieczni. Chociażby wszyscy żołnierze Nerona nas ścigali, nie odnajdą tej kryjówki.

Aktea, spojrzawszy dokoła, w pierwszej chwili nic dostrzedz nie mogła; płomień pochodni, miontany silnym prądem powietrza, rzucał migotliwe i niepewne światło, które ślizgało się tylko po przedmiotach, nie oświecając ich wyraźnie; dopiero, gdy wiatr ustał i gdy wzrok przyzwyczail się do zmroku, można było odróżnić nawet sklepienie tej rozległej jaskini, która to się zwężała, tworząc ciemny korytarz, to rozszerzała się w prze-

stronne izby. Podróżni nasi szli wciąż za Sylasem, znajdując wciąż doskonale miejscowość. Aktea postępowiała z obawą, doznając dziwnego przygnębienia. Nagle stanęła przerażona, chwytając jedną ręką kraj płaszcza Pawła, a drugą wskazując mu długie rzędy grobów, wykutych w ścianach podziemia. Jednocześnie w głębi tych ponurych ścian ujrzeli kobiety w białych szatach, przesuujące się jak widma z pochodniami w rękę i dążące w jedną stronę. Po chwili usłyszeli śpiew chóralny, tak uroczy i słodki, że zdał się być pieniem aniołów. Tu i ówdzie lampy, przytwierdzone do słupów, zaczynały drogę rozjaśniać; groby ukazywały się coraz liczniej, coraz więcej przesuwało się cieniów, coraz wyraźniej wpadały w ucho śpiewy. Zbliżali się do podziemnego miasta, a jego okolice zaczynały zaludniać się żyjącymi i umarłymi. W wielu miejscach leżały rozsypane po ziemi lilje i róże, odpadłe od wieńców i smutnie więdnięce zdala od powietrza i słońca. Aktea zbierała te biedne kwiaty, dzieci dnia i światła, jak ona i jak ona żywcem zagrzebane w grobie, a łącząc je z sobą, ułożyła bukiet bezwonny i blady, tak jak na szczątkach minionego szczęścia budujemy nadzieję przyszłości. Nakoniec, w zakręcie jednej z tysięcy dróg labiryntu, ujrzeli rozległą przestrzeń, jakby podziemną bazylikę, oświeconą lampami i pochodniami, napelnioną tłumem mężczyzn, kobiet i dzieci. Gromada młodych dziewcząt, okrytych długimi, białymi zasłonami, napelniała sklepienia pieśniami, które Aktea już słyszała. Jakiś kapłan przygotowywał się do sprawowania obrzędu Bożych tajemnic, lecz zbliżywszy się do ołtarza, zatrzymał się nagle i obracając się ku wierzącym, rzekł jakby w natchnieniu:

— Jest między nami godniejszy ode mnie do

opowiadania wam Słowa Bożego, bo on je słyszał z ust samego Zbawiciela. Pawle, zbliż się i pobłogosław braci.

Wszystek lud, któremu oddawna zapowiedziano przybycie apostoła, padł na kolana; chociaż była poganką Aktea, uczyniła to samo. Przyszły męczennik postąpił ku ołtarzowi.

Znajdowali się w katakumbach!...

III

Było to całe miasto pod innem miastem.

Ziemia, narody i jednostki podobne mają istnienie: ziemia ma okresy wstrząśnień, narody rewolucje, człowiek choroby; wszystko ma swe dzieciństwo, dojrzałość i starość; ich wiek różni się tylko rozmiarem czasu; pierwsza swe istnienie liczy na tysiące lat, drugie na wieki, ostatnie na dni.

W tym tak rozmierzonym okresie czasu są epoki przechodnie, a w nich spełniają się rzeczy niesłychane, które wynikając z przeszłości i przysposabiając przyszłość, badaniom wiedzy przedstawiają się pod postacią wypadków naturalnych, a oczom wiary — jak zrzádenia Opatrzności. Rzym znajdował się wówczas w jednej z tych tajemniczych epok i zaczynał doświadczać owych dziwnych wstrząśnień, poprzedzających zgon lub narodzenie mocarstw. Czuł on w sobie to dziecko nieznane, które miał wydać na świat, które już poruszało się głucho w rozległych jego wnętrzościach; dręczyła go śmiertelna omdlałość i jak pasujący się z gorączką, którego odbiegł sen i spoczynek, spędzał ostatnie lata swego pogańskiego istnienia już to w przystępach szału, już w bez-

władnej odrętwiałości. Pod tę bowiem drgającą nad ziemią powierzchowną i zewnętrzną cywilizację, wkradł się pierwiastek nowy, podziemny, niewidoczny, niosący ze sobą zniszczenie i odrodzenie, śmierć i życie, ciemności i światło. Jakoż codziennie pod tym światem pogańskim, nad nim, dokoła niego, spełniały się wypadki, których on nie pojmował w swem zaślepieniu, a które poeci ogłaszali za cuda. Były to głosy podziemne i dziwne, które przypisywano bóstwom piekieł; nagle znikania mężczyzn, kobiet, całych rodzin; ukazowania się ludzi, których miano za umarłych, a którzy wracali z królestwa cieniów grożąc i przepowiadając. Ów bowiem ogień podziemny wprowadził w stan wrzenia, jakby olów i złoto, wszystkie złe i dobre namiętności; lecz złoto wsiąkało, a olów zostawał na powierzchni. Katakumby stały się tem tajemniczym naczyniem zlewu, do którego kropla po kropli zgromadzał się skarb przyszłości.

Były to, jak wiadomo, rozległe opuszczone kościoły; cały Rzym, ze swemi domami, pałacami, teatrami, łaźniami, cyrkami, wodociągami, wyrósł z ich kamieni; z tych wnętrzności narodził się gród Romulusa i Scypiona. Lecz od czasów Oktawjusza, to jest od dnia, w którym marmur zastąpił kamień, echa tych przestronnych galeryj już nie powtarzały kroków pracujących robotników. Głaz miejscowy stał się zbyt pospolitym, cesarowie zażądali porfiru od Babilonu, granitu od Teb, miedzi od Koryntu. Zostały więc opuszczone, wydłupione, zapomniane podziemne Rzymu jaskinie, gdy z wolna i tajemniczo zaludnił je znowu rodzący się chrześcijaństwo. Zrazu były kościołem, potem schronieniem, na koniec miastem.

Gdy Paweł z Akteą zeszli do nich, były jeszcze wtenczas tylko schronieniem: wszystko, co było

uciśnionem, nieszczęśliwem, potępionem, tam znajdowało przytułek, pociechę i grób. Całe rodziny kryły się w pieczarach, bo nowa wiara liczyła już tysiące wyznawców. Lecz wśród niezliczonych tłumów, zamieszkujących powierzchnię Rzymu, nikt nie zwracał uwagi na to podziemne wsiąkanie, które nie było jeszcze tak znacznem i tak widocznem, żeby się rzucało w oczy.

Nie należy jednak mniemać, aby życie pierwszych chrześcijan upływało wyłącznie na chronieniu się od prześladowań, które już ich wtedy straszliwie gnębiło. Żyli oni w ścisłej spójni, połączeni zakonem Chrystusowej miłości, broniąc się, ostrzegając przed niebezpieczeństwami i pomagając sobie wzajem. Wyznawcy, zamieszkujący w Rzymie, zmuszeni do tego zajęciem lub stosunkami, często doznawali ratunku od braci, kryjących się w katakumbach. Zdarzało się, że pod nogami zagrożonego przez pogan chrześcijanina otwierało się wejście do tajemnego korytarza, że więźniowie znikali z zamknięcia wraz z dozorcą swoim. Wówczas zaś, gdy na ratunek życia nie pozostawało czasu, gdy chrześcijanin stawał się męczennikiem, bądź przez uduszenie w więzieniu Tullusa, bądź przez ścięcie na placu publicznym, bądź przez strącenie ze skały Tarpejskiej, lub na koniec przez ukrzyżowanie na Eskwilinie, kilku starców roztropnych, kilku śmiałych młodzieńców, a nawet kilka kobiet odważniejszych, przebywając krętymi ścieżkami górę Przekłątą, na którą wyrzucano trupy ludzi skazanych, aby zostały pożarte przez zwierzęta i drapieżne ptaki, unosiło pokaleczone ciała do katakumb, gdzie się stawały przedmiotem czci i poszanowania braci, którzy wobec ciał męczenników zachęcali się do wytrwania w wierze i przyrzekali tak żyć i umierać, jak

żył i umierał na ziemi wybrany, który ich do nieba poprzedził.

Często się także zdarzało, że śmierć, znużona ciosami, wymierzanemi przy blasku słońca, nawiedzała katakumby dla wybrania tam jakiej ofiary; wówczas już nie matka, syn, małżonka traciła ojca lub męża, ale cała rodzina opłakiwała swe dziecię. Obwijano je wtedy całunem. Jeśli to była dziewczyna, wieńczono ją różami; jeśli mężczyzna lub starszec, kładziono mu palmę w rękę. Kapłan odmaszynał nad ciałem ostatnią modlitwę, potem z wolna umieszczano je w wykutym zawczasu kamiennym grobie, gdzie miało spoczywać aż do zmartwychwstania.

Te właśnie groby widziała Aktea, wchodząc po raz pierwszy pod nieznane sklepienia; wówczas wzbudziły w niej przestraszające głębokości, który się rychło zamienił na smutek. Młoda dziewczyna, jeszcze poganka sercem, ale już duszą chrześcijanka, niekiedy godziny całe wpatrywała się w te groby, na których matka, małżonka albo strapiona córka wyryły końcem noża imię ukochanej osoby, wraz z jakimś religijnym godłem, lub zdaniem pobożnym, wyrażającym boleść lub nadzieję. Na wszystkich prawie był krzyż, to znamię poświęcenia się dla ludzi, przypominające im cierpienia Boga-Człowieka; potem jeszcze świecznik o siedmiu ramionach, oświecający kościół jerozolimski, albo gołębica arki, ta słodka posłanka miłosierdzia, przynosząca ziemi zerwaną w niebieskich ogrodach gałązkę oliwną; indziej widniał baranek, ryba, okręt, kotwica, palmy i inne godła chrześcijańskie.

Czasem wspomnienia szczęścia wracały do serca Aktei i wówczas szukała promieni światła dziennego, przysłuchiwała się odgłosom świata; siadłszy w miejscu ustronnem, wsparta o słup podziemia,

ze złożonemi na krzyż rękami, z głową spuszczo-
ną, okryta długą zasłoną, zdawała się grobowym
posągami i tylko westchnienie bolesne, wydiera-
jące się z jej piersi, tylko drżenia nerwowe, wstrzą-
sające jej ciałem, zdradzały istotę żyjącą. Wte-
czas Paweł, który jeden tylko wiedział, co się
działo w tej duszy, który był świadkiem, jak Chry-
stus przebaczył Magdalenie, poruczał czasowi i Bo-
gu ukojenie jej strapień. Zwracał się też do dzie-
wczek chrześcijańskich i wskazując im zasmuco-
ną postać Aktei, mówił do nich:

— Módlcie się za tę nieszczęsną, aby jej Pan
przebaczył, aby się do was stała podobną i aby
również się mogła modlić z wami.

Były mu posłuszne i czy to ich modły przeni-
kały do niebios, czy też lzy łagodziły gorycz bo-
leści, zawsze jednak młoda Greczynka doznawała
ukojenia i coraz częściej łączyła się ze swemi to-
warzyszkami.

Gdy ukryci w katakumbach chrześcijanie ocze-
kiwali triumfu swej wiary, krzepiąc się słodką nau-
ką Mistrza i zaprawiając się nią do bohaterskich
zapasów z pogaństwem, wypadki szybko się snuły
nad ich głowami. Chwiał się w posadach cały
świat pogański, jak człowiek pijany, a Neron, ów
wódz naczelny wyuzdania i rozpusty, nasycił się
ohydą rozkoszą, winem i krwią. Śmierć Agrypiny
zerwała ostatnie wędzidło, które go hamowało od
przebrania w ostatecznej mierze, bo zawsze się jej
do pewnego stopnia obawiał; z chwilą więc, gdy
zgasły płomienie jej stosu, zgasły w nim też wszel-
kie uczucia ludzkie, rozwiązał się ślad sumienia.
Z początku nie śmiał opuszczać Bauli, dręczyła go
bowiem obawa — jakie skutki wywoła matkobój-
stwo. Chociaż w nic nie wierzył i wszystkiem po-
gardzał, zdało mu się jednak, że taka zbrodnia nie

pozostanie bez zemsty, rozsroży na niego bogów i ludzi. Oczekiwał tedy w Bauli na nowiny, które mu mieli przynieść rozesłani gońce. Senat jednak okazał się tak znikczemniały, iż wysłał do niego świetną delegację z powinszowaniem, że uniknął nowego niebezpieczeństwa, oznajmując zarazem, iż nie tylko Rzym, ale wszystkie miasta Italji składają w świątyniach dzięki bogom i radosne ofiary za cudowne ocalenie cezara.

Co do bogów, jeżeli wierzyć mamy Tacytowi, ci mniej się okazali pobłażający. Nie mogąc bowiem poruszyć wygasłego w matkobójcy sumienia, zesłali na niego bezsenność, podczas której z wierzchołka wzgórz pobliskich dolatywał go nieustannie dźwięk trąby, a od grobu matki dochodziły go jęki i złorzeczenia. Opuścił więc Bauli i udał się do Neapolu.

Tam znalazł Poppeę, a ta wzbudziła w nim znów nienawiść ku Oktawji, tej nieszczęśliwej siostrze Brytannika; biedne dziecko, bez względu na jej miłość dziewiczą, wydarto narzeczonemu i rzucono w nienawistne jej objęcia Nerona; ta nieszczęśliwa małżonka, której żaloba zaczęła się z dniem wesela; która z pierwszym przestąpieniem progu mężowskiego, widzieć musiała morderstwo ojca i brata, i walczyć bezskutecznie z możniejszą współzalatniczką; która wreszcie, zdala od Rzymu, w dwudziestym roku życia, zносиła bez utyskiwania wygnanie w ustroniach Kampanji, gdzie otoczona centurjonami i żołnierzami, wyczekującymi bezustannie rozkazu, znaku, skinienia, aby z dworzan stać się katami, przeczuciem swej doli oswajała się z myślą okropnej śmierci. Życie Oktawji, tak samotne, tak nieszczęśliwe i zapomniane, dręczyło jeszcze Poppeę, wśród jej władzy nieograniczonej i cudzołożnego przepychu, pięk-

ność bowiem, młodość i nieszczęścia Oktawji uczyły ją popularną. Ubolewali nad nią Rzymianie tem uczuciem wrodzonym człowiekowi i dla cierpiącej niewinności; to współczucie, ta litość, była dla niej niebezpieczną, mogła ją raczej zgubić niż ocalić. Nie stała za nią siła, nie stała żadna moc obronna.

A jednak nawet Neron, mimo swej nienawiści dla Oktawji i nalegań Poppei, wahał się ze skazaniem jej na śmierć. Aż razu pewnego tłum zaczął się domagać powrotu Oktawji z wygnania. Posągi Poppei wywrócono i unurzano w błocie. Wnet zjawily się strażę, uzbrojone biczami i rozpędziwszy zuchwałych, ustawiły wizerunki Poppei na podstawach. To sztucznie wywołane zaburzenie trwało przez godzinę i kosztowało milion sestercyj; wart był tej sumy cel pozbycia się rywalki.

Poppea z Rzymu przybyła do Neapolu, mówiąc, że uciekła od morderców, zapłaconych przez Oktawję. Zachwycająca w zmyślonym przestachu, padła na kolana przed Neronem, a ten posłał Oktawji rozkaz zadania sobie śmierci.

Napróżno biedna wygnanka chciała się wyrzec godności, poprzestając na tytułach wdowy i siostry cezara; napróżno wzywała imienia Germaników, wspólnych jej i Neronowi naddziadów; napróżno wzywała imienia Agrypiny, która dopóki żyła, nad jej bezpieczeństwem sama czuwała troskliwie. Nic nie ugięło nieludzkiego wyroku. Gdy zaś nie miała odwagi zadać sobie ciosu, związano jej ręce, w czterech miejscach otworzono żyły, potem przecięto wszystkie arterje, a gdy jeszcze nie uchodziła krew, skrzepla z przestachu, uduszono ją w parze wrzącej kąpieli. Aby zaś rywalka nie przypuszczała, iż ją ludzono wydaniem na śmierć jakiej podstawionej ofiary, odcięto, zamordowanej

głowę od ciała i zaniesiono Poppei, która ją położyła na kolanach, otworzyła powieki, a widząc groźbę w tem lodowatym i zmartwiałym spojrzeniu, przekłuła oczy złotymi szpilkami, które tkwiły w jej włosach.

Nakoniec Neron powrócił do Rzymu. Wyuzdane jego szaleństwo doszło do najwyższego stopnia. Odbywały się igrzyska, na których senatorowie walczyli zamiast gladiatorów; zapasy śpiewu, podczas których śmiercią karano tych, co niedosyć przyklaskiwali cesarzowi; pożar, który strawił połowę Rzymu, a któremu Neron przypatrywał się, klaszcząc w ręce i śpiewając przy lutni rapsody Homera o zburzeniu Troi. Zrozumiała wreszcie sama Poppea, że czas było powstrzymać szaleństwa kochanka; że tak niesłychane, tak potworne wybryki mogły jej wpływ podkopać i rozwiać.

Pod pozorem więc ciąży, wymówiła się od udania się do teatru w dniu, w którym miał śpiewać sam Neron. Odmowa do żywego obraziła artystę; prośbę zamienił na rozkaz. Odmówiła znowu ufna w swe wdzięki, a rozwścieczony Neron zabił ją silnym uderzeniem nogi.

Potem sam wszedł na mównicę i wygłosił mowę żałobną. Nie mogąc chwalić cnót znanej z rozpusty kochanki, chwalił jej piękność. Sam też następnie wymyślił dla niej obrzęd pogrzebowy. Nie kazał ciała jej palić na stosie, natomiast polecił je zabalsamować wzorem władców Wschodu. Zapewnia Plinjusz, że przez rok cały nie wydaje tyle kadzideł i mirry Arabja, ile spalił ich cesarz na pogrzebie tej, która kazała kuć złotem swe muły i zużywała codziennie mleka pięciuset oślic na kąpiele.

Neron zaś szalał coraz bardziej. Doszło do tego, że oskarżył chrześcijan o własne swe zbrodnie

i nowe, niesłychane nastąpiły prześladowania. Ale wraz z niemi gorliwość katechumenów wzrastała, niebezpieczeństwa ją podsycali. Codziennie nowym wdowom i nowym sierotom nieść trzeba było słowa pociechy; co noc chronić nowe ciała od drapieżnych zwierząt i ptaków. Spostrzegł Neron, że ciała zamordowanych chrześcijan znikają, urządził tedy w bliskości Eskwilinu zasadzkę. Jakoż jednej nocy gdy Paweł wiódł kilku chrześcijan dla zabrania do katakumb zwłok męczenników, został wraz z towarzyszami schwytany i uwięziony.

Jeden tylko Sylas ocalał i on to przyniósł do katakumb żalosną wieść. Właśnie wierni odprawiali modły. Przyniesiona przez Sylasa wiadomość jak gromem razila wszystkich. Padli też na kolana, zwracając się do Pana o ratunek dla świętego apostoła i jego towarzyszy. Aktea tylko nie uklękała, bo Chrystus nie był jeszcze jej Bogiem. W rozgoryczeniu zaczęto ją oskarżać o niewdzięczność. Ona jednak nakazała milczenie, a gdy się uciszono, rzekła:

— Jutro pójdę do Rzymu i będę się starała ocalić Pawła.

— Ja zaś — zawołał Sylas — dziś tam powracam aby umrzeć z nim razem, jeśli starania twoje pozostaną bez skutku.

IV

Nazajutrz rano, Aktea wyszła z katakumb i udała się do Rzymu, aby spełnić przyrzeczenie. Szła sama, okryta stołą od szyi do nóg, z zasłoną zwaną *rico* na twarzy; za pasek zatknęła krótki i ostry sztylet, bo chciała być uzbrojoną na wy-

padek zniewagi jakiego pijanego obywatela, albo żołnierza. Gdyby nie zdołała uwolnić Pawła, postanowiła prosić o pozwolenie odwiedzenia go w więzieniu; wtedy da mu ten sztylet, by mógł uniknąć kary hańbiącej i srogiej. Była bowiem jeszcze dziewicą Achai, urodzoną na kapłankę Djanu lub Minerwy, wychowaną w wyobrażeniach i przykładach pogańskich. Miała wciąż przed oczyma czczony przez starożytnych wzór Annibala, wypijającego truciznę, Katona, otwierającego swe żyły i Brutusa, rzucającego się na ostrze miecza. Nie wiedziała, że nowa religja potępiała samobójstwo jako grzech, a męczeństwo podnosiła jako cnotę; że to, co za hańbę poczytywali poganie, było świętością w oczach prawowiernych.

Zbliżywszy się do bramy Metrovji, za którą sięgała aż do Rzymu dolina Egerji, uczuła drżenie tak silne i serce tak mocno uderzać jej zaczęło, że musiała wesprzeć się o drzewo, by nie upaść. Miała zobaczyć Nerona, którego nie widziała od owych wspaniałych uroczystości Minerwy, które zakończyły się tak straszliwie. Czy dziś znajdzie Lucjusza, czy cezara? świetnego zwycięzcę igrzysk, czy okrutnego władcę Rzymu? kochanka czy sędziego? Rozważając odrętwienie, w jakie zapadła podczas długiego pobytu w katakumbach, zrozumiała, że było ono skutkiem posępnego otoczenia, ponurej atmosfery, owego zimna, milczenia i ciemności, gdyż teraz, skoro się znalazła wśród gwaru świata, wśród powietrza, nasyczonego wonnościami kwiatów, wśród blasków słonecznych, uczuła się jakby odrodzoną, jakby budziło się w niej życie i miłość.

Wszystko zresztą, co się działo na powierzchni ziemi, miało w katakumbach odgłos bardzo słaby, niewyraźny, jakby odległego echa. Wiedziała tedy

Aktea o zamordowaniu Oktawji i o śmierci Poppei, ale powierzchownie. Zbrodnie te nie mogły jej dojść w całej swej okropności, bo prawda znana była wtedy jedynie ich wykonawcom, historia dopiero znacznie później miała je we właściwym oświetleniu przekazać potomności. Wiedziała przeto Aktea tylko, że cesarz nie miał teraz żony ani kochanki, a to ją ożywiało nadzieją, iż może znajdzie u niego zakątek w sercu; oddźwięk tej miłości, jaka wypełniała całą jej duszę.

Pod wpływem tych myśli, przyszła do siebie i wkroczyła już śmielej do miasta. Był wtedy piękny i ciepły poranek lipcowy, XV Kalendów, a dzień ten zaliczano do szczęśliwych. Godzina druga ranna, odpowiadająca naszej siódmej, również była szczęśliwą. Ulice miasta przedstawiały nie zwykle ożywiouy widok. Wypełniały je odświeżone przybrane tłumy, dążące spiesźnie ku Forum, jakby na zapowiedziane widowisko lub uroczystość.

Aktea, porwana falą tłumy, szła za wszystkimi, była to bowiem droga prowadząca do Palatynu, a tam spodziewała się zobaczyć Nerona. Zatopiona w uczuciach, rozbudzonych tem oczekiwaniem spotkaniem, szła nie zwracając uwagi na to, co się dookoła niej działo; dążyła długą ulicą, ciągnącą się między Celusem i Awentynem, nie widząc nawet, że rozesłano na niej wzorzyste kobierce i rozsypało kwiaty. Dopiero zbliżając się do Palatynu spostrzegła, że posągi bogów przystrojone były w szaty świąteczne, a ich czoła opasane wieńcami z liści dębowych i laurowych. Zwróciwszy się potem na prawo, znalazła się na drodze Świętej, którą przebywała triumfalnie po raz pierwszy wjeżdżając do Rzymu. Ciżba ludu coraz się skwapliwiej tłoczyła, kierując się ku Kapitolowi, gdzie przy-

gotowywano jakąś wspaniałą uroczystość. Lecz co mógł ją obchodzić Kapitol? Szukała Lucjusza, a ten mieszkał w Złotym Pałacu. Doszedłszy do świątyni Remusa i Romulusa, skierowała się na lewo, szybko minęła świątynię Vesty i Jowisza Statora, weszła na schody, wiodące do Palatynu i znalazła się pod przysionkiem Złotego Pałacu.

Tu spostrzegła coś niezwykłego. Wspaniałe łoże, okryte purpurą tyryjską, bramowaną złotem, stało przed drzwiami atrium; wspierało się ono na podstawie z kości słoniowej, wysadzaney szyldkrettem, a draperje atalickich materyj, osłaniając je, tworzyły jakby rozległy namiot. Aktea zadrżała, krople zimnego potu wystąpiły jej na czoło, ciemny obłok zasłonił oczy. To łoże, wystawione przed oczy ludu, było łóżem małżeńskiem cezara. Nie chciała jeszcze wierzyć. Zbliżywszy się do niewolnika, spytała się: co znaczyła ta wystawa. Odpowiedział jej, że to łoże Nerona, którego zaślubiny odbywały się w tej chwili w świątyni Jowisza Kapitolńskiego.

Wówczas w duszy młodej dziewczyny z całą siłą odżyła gwałtowna namiętność. Zapomniała o wszystkim: o katakumbach, które jej dały schronienie, o chrześcijanach, którzy w niej położyli nadzieję, o niebezpieczeństwie Pawła, który ją uratował i któremu teraz była obowiązana się wzajemnić; chwyciła sztylet, który miał być obrobną jej czci i przebiegłszy schody, z piersią wezbraną zazdrością, rzuciła się ku Kapitolowi, aby zobaczyć nową rywalkę, która jej wydarła serce kochanka w chwili, gdy je odzyskać miała nadzieję.

Tłok był ogromny, jednak z tą siłą, jaką daje namiętność, otwierała sobie przejście w ciżbie, bo chociaż nie widać było jej twarzy, okrytej zasłoną, każdy jakby przeczuwał, że ta kobieta, o pe-

wnym i szybkim kroku, zmierzała do celu ważnego i trzeba ustąpić jej z drogi. Szła więc wciąż drogą Świętą, aż do łuku Scypiona, potem zwracając się krótszem przejściem między więzieniem publicznem i świątynią Zgody, wbiegła do świątyni Jowisza Kapitolńskiego.

U stóp posągu boga stali narzeczeni. Dziesięciu świadków, liczba wymagana przez prawo, wybrani z grona najszlachetniejszych patrycjuszów, siedzący na krzesłach, obitych runem owiec ofiarnych otaczało ich wokół. Ponieważ narzeczeni mieli twarze okryte zasłoną, Aktea nie mogła zrazu poznać nowej wybranki cezara. Ale w tejże chwili wielki kapłan, wspólnie z flaminem Jowisza, odbywszy libację z mleka i wina osłodzonego miodem, zbliżył się do cezara i rzekł:

— Lucjusz, Domicjusz, Klaudjusz, Nero, nie, daję ci Sabinę; bądź jej małżonkiem, przyjacielem, opiekunem i ojcem; czynię cię panem jej majątku i powierzam ją dobrej twojej wierze.

To rzekłszy, złączył ręce małżonków i podniósł zasłonę nowozaślubionej, aby każdy mógł powitać żonę cezara.

Aktea słyszała imię Sabiny, wypowiedziane przez arcykapłana, nie dowierzała jednak, sądziła, że ją słuch myli, że Neron nie mógł się poślubić niewolnicę; lecz gdy arcykapłan odsłonił twarz poślubionej, wszelka wątpliwość znikła. Była to istotnie siostra Sporusa; cesarz ją uroczyście pojął za małżonkę wobec bogów i ludu...

Teraz dopiero zrozumiała Koryntjanka dziwne uczucie, jakiego zawsze doświadczała dla tej tajemniczej istoty: był to ów wstręt, owo przeczucie

cie nienawiści, które kobiety mają dla tych, co się stać mogą kiedyś ich rywalkami. Neron zaś ślubiał tę dziewczynę, którą jej kiedyś darował, która jej kiedyś służyła, była jej niewolnicą — która może nawet i wtenczas dzieliła już z nią miłość kochanka — nad którą miała prawo życia i śmierci, a której nie zdusiła jak węża, co miał kiedyś pożerać jej serce. To niepodobna! Drugi raz zwróciła na nią oczy. Ale kapłan się nie pomylił, nie pomyliła się i ona — była to niewątpliwie Sabina — Sabina w ubraniu nowozaślubionej: w tunice białej, ozdobionej wstęgami, przepasana paskiem z wełny owczej, który sam tylko małżonek miał prawo rozerwać. We włosach miała złoty dziryt na pamiątkę porwania Sabineki, a na ramionach zasłonę płomienistego koloru, ową weselną ozdobę, którą jedynie w dzień ślubu przywdziewały Rzymianki, upatrując w niej wróżbę błogosławnego pożycia, ponieważ był to strój żon kapłanów, którym prawo nie dozwalało rozwodu.

Nowożeńcy powstali i wyszli ze świątyni. U drzwi czekało na nich czterech obywateli ze stanu rycerskiego, niosących bóstwa, opiekujące się małżeństwami i cztery dostojne patrycjuszki, trzymające w rękach pochodnie z drzewa sosnowego. Tygellin oczekiwał ich na progu z posagiem nowozaślubionej. Neron przyjął go, włożył na głowę Sabiny wieniec, na ramiona płaszcz żon cesarzy, wszedł do otwartej lektyki i ucałował żonę w oczach ludu, który na ten widok zaczął klaskać rozgłośnie życzyć małżonkom licznego potomstwa.

Aktea szła za pochodem, sądząc, że się udawał do Pałacu Złotego. Ale orszak, opuściwszy Kapitol, skierował się ku Vicus Tuscus, przebył Ve-

labrium, plac Argilety i przez bramę triumfalną, udał się na pole Marsowe. Cezar bowiem chciał całemu Rzymowi ukazać swą nową małżonkę. Prowadził na Forum Olitorium, do teatru Pompejusza, do portyków Oktawji, słowem w miejsca najliczniej uczęszczane.

Aktea szła wszędzie za niemi: na place targowe, do świątyń na przechadzki publiczne. Na wzgórzach ogrodów został zastawiony wspaniały obiad. Tam stała wsparta o drzewo przez cały czas weselnej uczyty. Wracali potem przez Forum Cezara, gdzie Senat oczekiwał nowożeńców. Słuchała mów wygłaszanych ukryta za posagiem dyktatora. Dopiero wieczorem orszak udał się ku Złotemu Pałacowi, cały dzień była na nogach, bez żadnego posiłku, nie czując głodu, pragnienia, ani znużenia, płonąc ogniem, który trawił jej całą istotę.

Gdy orszak wszedł do pałacu cezara, Aktea dostała się tam bez trudności, bo Neron w przeciwieństwie do Tyberjusza, nie obawiał się ludu. Jego rozrzutność, igrzyska, widowiska, nawet jego okrucieństwa, które osiągały przeważnie tylko głowy dostojne i nieprzyjaciół religji pogańskiej, zjednały mu popularność tego zdemoralizowanego ludu, który żył tylko hasłem: *pax nem et circenes!* Kto jego pożądanja zadawała, mógł się cieszyć względami.

Aktea знаła rozkład pałacu, bo nieraz przebiegała z Lucjuszem te komnaty. Jej biała zasłona i suknie, dawały jej pozór uczestniczki orszaku weselnego. Nikt też nie zwrócił na nią uwagi, mogła więc, gdy cezarszuka udał się z małżonką do triclinium na posiłek wieczorny, dostać się

niepostrzeżenie do małżeńskiej komnaty, gdzie zostało odniesione łóże.

Przebyła tam już dwie godziny, ukryta za draperjami łoża, nieruchoma, niema, tłumiąc oddech w piersi. Nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy, po co tu przyszła, ale przez te dwie długie godziny, dłoń jej ani na chwilę nie opuściła rękojęści sztyletu. Nakoniec usłyszała lekkie kroki, a po chwili drzwi się otworzyły i Sabina wiedziona przez Kolwię Kryspinellę, która jej służyła za matkę, jak Tigellin za ojca, weszła do komnaty w swym weselnym stroju, już jednak bez paska, który Neron rozerwał podczas wieszery. Kolwia zaczęła rozwiązywać spłoty jej warkoczy, utrefionych nad głową w kształcie wieży, a gdy włosy rozplynęły się na ramiona, zdjęła z niej flammeum i rozwiązała zwierzchnią szatę. Sabina została tylko w spodniej tunice.

Rzecz dziwna: w miarę jak z rywalki znikwały kolejno suknie, zaczęła się ona w oczach Aktei przeobrażać, aż wreszcie Koryntjanka ujrziała przed sobą Sporusa w tej samej postaci, w jakiej go po raz pierwszy zobaczyła, gdy schodził z okrętu i siedł przy Lucjuszu w swej krótkiej, przejrzystej tunice, z ramionami nagiemi i rozpuszczonymi włosami. Byłże to sen — czy jaśwa? Czy brat i siostra jedną stanowili istotę? czy też rozum straciła Aktea?

Kolwia przybrawszy zagadkową postać, skłoniła się jej, a gdy tamta dziękowała za pomoc patrycejusze, Aktea poznała głos Sporusa, tak jak niedawno poznała głos Sabiny. Nakoniec Kolwia wyszła.

Nowozaślubiona, zostawszy sama, obejrzała

się na wszystkie strony, a sądząc, że nikt jej nie widzi, opuściła ręce z wyrazem znużenia, westchnęła, z oczu jej płynąć zaczęły strumienie łez; potem z uczuciem głębokiej odrazy zbliżyła się do łożnicy. Zaledwie jednak stąpiła na pierwszy stopień, cofnęła się, wydając przeraźliwy krzyk, spostrzegła bowiem, wśród zwojów purpurowej kotary, wybladłą twarz Aktei, która widząc się odkrytą, jednym skokiem, jak tygrysica, rzuciła się na rywalkę. Tamta zbyt była słabą istotą, by mogła uciekać lub się bronić; padła więc na kolana, wyciągając ręce i ze drżeniem patrząc na błyszczące ostrze sztyletu; po chwili promień nadziei ożywił jej oczy.

— Czyś to ty, Akteo? ty? — zapytała.

— Tak jest, to ja! — odparła. — Ale kto ty jesteś? Czyś Sabina, czyś Sporus? Czyś mąż, czyżna, czy kobieta?... Mów! odpowiadaj...

— Niestety! niestety — szepnął eunuch, padając u nóg Aktei — nie jestem ani jednym ani drugim.

I zemdlął.

Aktea zdumiona opuściła sztylet.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty weszli niewolnicy, aby ustawić dookoła łoża posagi bóstw małżeńskich. Spostrzegłszy zemdlonego Sporusa, nachyloną nad nim kobietę, bladą, z płonącym wzrokiem, a obok leżący sztylet, domyślili się zamachu. Porwali tedy Akteę i wtrącili do lochów pałacu, obok których przechodziła niedawno, gdy ją Lucjusz przywołał do siebie, a skąd ją tak żalosne wówczas dochodziły skargi.

Znalazła się tam razem z Pawłem i Sylasem.

— Czekaleś na ciebie — rzekł Paweł.

— Ojcze — zawołała — przybyłam do Rzymu, aby cię ratować...

— I nie mogąc tego dokonać, przychodzisz śmierć ze mną podzielić?

— Nie ojcze — westchnęła zawstydzona — nie, jam zapomniała o tobie. Jam niegodna, abyś mnie córką swą nazywał. Jestem nieszczęsną, szaloną istotą, nie zasługującą ani na litość, ni na przebaczenie.

— Kochasz go więc zawsze?

— Nie, już go nie kocham, mój ojcze, bo niepodobna, bym go jeszcze kochała. Jestem tylko obłąkana, opętana... Któż mi rozum powróci? Niema takiej mocy, takich zaklęć, któreby zdolne były to uczynić...

— Przypomnij sobie dziecię niewolnika: kto leczy ciało, ma także moc uzdrawiania duszy.

— Zapewne, ale dziecię niewolnika brak wiary zastępowało niewinnością, a ja nie mam jeszcze wiary i nie mam już niewinności.

— A jednak, jeżeli możesz czuć żal i skrucę, nie jesteś jeszcze zgubioną — zauważył apostoł.

— Nie wiem! nie wiem! — szepnęła z powątpiewaniem.

Zbliż się do mnie — rzekł Paweł, siadając na wystającym z ziemi głazie — będę ci mówił o twoim ojcu.

Aktea padła na kolana, głowę wsparła na ramieniu starca, on zaś przez całą noc pobudzał ją do skruchy i nauczał. Łkaniem tylko odpowiadała mu pokutnica, lecz gdy ranek zajaśniał, gotową była do przyjęcia Chrztu Św.

Prawie wszyscy więźniowie, zamknięci z Pawłem i Syłasem, byli to chrześcijanie z katakumb; znali tedy Akteę, widzieli jej cnoty, ale nie znali

jej błędów. Teraz przez całą noc zasyłali modły do Boga, aby promieniem wiary obdarzał biedną poganę; radość przeto ich ogarnęła, gdy im apostoł oznajmił, że Bogu przybyła jedna więcej słuzebnica.

Nie ukrywał przed Akteą, że tytuł chrześcijan-ki wielkich od niej ofiar wymaga, musi się rzec ziemskiej miłości, a w danym razie poświęcić nawet życie. Codzień z lochu zabierano kilku więźniów, skazanych na śmierć krzyżową lub na arenie cyrku. Uprowadził przeto Paweł Akteę, że wraz z nową wiarą, przyjmuje zobowiązanie męczeństwa.

Wiedziała zatem, co ją czeka, czuła też, że poświęceniem życia okupi niedostateczną znajomość nowej wiary. Już zresztą dawno wiarę tę ceniła; przekonywała się bowiem z dniem każdym, że pogaństwo jest źródłem złego, gdy chrześcijaństwo krzewi cnoty. Zresztą nie mogąc żyć przy Neronie, pragnęła umrzeć z Pawłem.

Apostoł nie zwlekał z udzieleniem Aktei chrztu. Towarzysze niedoli otoczyli ją kołem, ona zaś uklękła wśród nich, na smudze światła, które przedzierając się przez zakratowane okienko, padało na wilgotną ziemię lochu. Paweł stał nad nią, modląc się z rękami podniesionymi, a Sy-las schylony trzymał w ręku naczynie z wodą święconą i pęk zielonego bukszpanu. Gdy Aktea kończyła akt apostołów, to starożytne *credo*, które do dni naszych pozostało bez zmiany wyrazem wiary, drzwi się otworzyły z wielkim łoskotem, ukazali się żołnierze, a na ich czele Anicetus, który uderzony dziwnym widokiem więźniów, modlących się na kolanach, stanął milczący i nieruchomy na progu.

— Czego chcesz? — zapytał Paweł.

— Przychodzę po tę dziewicę — odparł Anicetus, wskazując Akteę.

— Ona nie pójdzie za tobą — rzekł Paweł — bo nie masz do niej żadnych praw.

— Ona należy do cezara — zawołał Anicetus.

— Mylisz się — zaprzeczył Paweł, który właśnie wylał wodę świętą na głowę Aktei i wymówił słowa obrzędu — ona należy już do Boga.

Aktea wydała krzyk i zemdlała, uczuła bowiem, że Paweł powiedział prawdę i że słowa obrzędu już ją na wieki rozdzieliły z Neronem.

— Ciebie więc zaprowadzę do cezara w jej miejsce — rzekł Anicetus, dając znak żołnierzom, aby pochwycili Pawła.

— Czyń, co ci się podoba — odparł apostoł — jestem gotów na wszystko, bo wiem, że czas nadszedł, abym zdał sprawę w niebie z mego posłannictwa na ziemi.

Paweł, stawiony przed cezara, został skazany na ukrzyżowanie. Powołał się jednak na obywatelstwo rzymskie i gdy się przekonano, że istotnie, jako mieszkaniec miasta Torres w Sycylii, posiada ten przywilej, zmieniono mu karę krzyża na karę miecza i ścięto na Forum.

Neron był świadkiem wykonania wyroku. Widowisko jednak nie zadowoliło ludu, trwało bowiem krótko, a tłuszcza spodziewała się widoku dłuższych męczarni. Rozległy się więc szemrania. Neron więc, dbały o swą popularność, przyrzekł ludowi, że w nadchodzącą rocznicę śmierci Juljusza Cezara, uraczy go walkami gladiatorów i wieloma innymi niespodziankami.

Z niecierpliwością oczekiwano zapowiedzianych igrzysk. Ze wszystkich bowiem widowisk, jakimi edylowie, pretorowie i cesarowie zabawiali lud, do najulubieńszych należały łowy dzikich zwierząt i walki gladiatorów. Ongi były one urządzone oddzielnie, ale Pompejusz powziął myśl łączenia ich z sobą i podczas drugiego swego konsulatu, z okazji poświęcenia świątyni Wenery Zwycięskiej, urządził walkę dwudziestu dzikich słoni z Getulami, uzbrojonymi w dziiryty. Wprawdzie znacznie dawniej, jak świadczy Tytus Liwjusz, w jednym dniu zabito sto czterdzieści dwa słonie w cyrku; ale zwierzęta te, zdobyte w bitwie z Kartagińczykami, których Rzym, wówczas przezorny, a ubogi, ani chciał karmić, ani oddać sprzymierzeńcom, zostały pozabijane grotami i strzałami przez widzów, siedzących na ławach amfiteatru. W ośmdziesiąt lat później, roku 523 od założenia Rzymu, Scypion Nazika i P. Lentulus wystawili w cyrku sześćdziesiąt trzy afrykańskie pantery i już zdawało się, że Rzymianie zubożeli dla tego rodzaju widowisk, gdy Segurus rozbudził ich zajęcie występując z nowością: nappełnił amfiteatr wodą i do tego udanego morza wpuścił dwa dziesiątki hipopotamów i trzydzieści krokodylów. Pretor Sylla, poświęcił na łowy sto lwów, Pompejusz trzysta piętnaście, a Juliusz Cezar czterysta; na koniec August, który dziedziczył po Oktawjuszu nieco krwawych jego skłonności, kazał zabić na arenie trzy tysiące pięćset lwów, tygrysów i panter. O niejakiem P. Soewiljuszu to tylko zostało wspomnienie, że

urządził widowisko, podczas którego zabito trzysta niedźwiedzi, tyleż panter i lwów, sprowadzonych z pustyni afrykańskich. Z biegiem czasów na arenach zabijano coraz większe ilości dzikich bestyj. Tytus, w czasie jednych łowów, wystawił na zabicie aż pięć tysięcy wszelkiego rodzaju zwierząt.

Ale Nercn przeniósł wszystkich przepychem i urozmaiceniem igrzysk. Oprócz pieniężnych hazardów, nałożonych na prowincje podbite, Nil i pustynie, woda i piaski, płaciły mu daniny ze lwów i tygrysów, panter i krokodyłów. Co do gladiatorów, jeńcy wojenni i chrześcijanie zastępowali ich dostatecznie; zbywało im wprawdzie na zręczności, jaką się odznaczali szermierze zawodowi, ale przewyższali tych ostatnich odwagą, dochodzącą nieraz do bohaterstwa. Umieli umierać wspaniale, a tego właśnie żądał lud.

Cały więc Rzym zgromadził się w cyrku. Tym razem pełną dłońią zaczerpnięto w pustyniach i więzieniach: tyle było dzikich zwierząt i ofiar ludzkich, że całą dobę trwać miały igrzyska. Neron nadto przyrzekł nowym sposobem oświecić cyrk, za co został powitany grzmiącymi oklaskami. Ukazał się przybrany, jak Apollo, miał więc, jak bóg pityjski, łuk i strzały. W przerwach bowiem zapasów, pragnął się popisować jako łucznik. Przeniesiono z lasu Albano do Rzymu kilkadziesiąt drzew, wyjętych z korzeniami i wkopano wśród areny; na drzewach tych siedziały pawie i oswojone bażanty, których jaskrawe i błyszczące jak drogie kamienne pióra, stanowiły wyraźny cel dla cezara. Zdarzało się też, że Neron, listując się nad jakim ranionym lub karcąc niedołęznego szermierza bądź zwierza, niezbyt zajadle

rozszarpującego ofiary, godził ich śmierciwą strzałą lub włócznią.

Jednocześnie z przybyciem cezara do cyrku, gladjatorowie ukazali się na arenie. Ci, co mieli rozpocząć zapasy, byli własnością bogatych patrycjuszów. Ponieważ jednak igrzyska zapowiedziano jako szczególnie uroczyste, przeto kilku młodych patrycjuszów zmieszało się z gladjatorami, chcąc przez to przypodobać się władcy. Mówiono, że dwaj z nich, przyszedłszy do nędzy przez rozpustę, wynajęli się, jeden za dwieście pięćdziesiąt, drugi za trzysta tysięcy sestercyj.

Gdy Neron wchodził do cyrku, gladjatorowie znajdowali się już w szrankach, oczekując na znak, a tymczasem próbowali sił, jak gdyby zapasy, które mieli stoczyć, były tylko prostem ćwiczeniem w sztuce szermierczej. Lecz zaledwie rozległy się wołania: — Cezar! Cezar! — i nowy Apollo zasiadł w swej łoży, umieszczonej naprzeciw westalek, przełożeni igrzysk niezwłocznie rozdali gladjatorom wyostrzoną broń zamiast tępej, którą staczali próbne walki. Otrzymaawszy oręż, przemaszerowali przed Neronem, podnosząc swe miecze ku niemu, aby się upewnić, czy były dostatecznie wyostrzone, co mógł łatwo wykonać schylając się. łoża bowiem jego o dziesięć stóp tylko była wzniesiona ponad szranki.

Przedstawiono teraz cesarowi listę szermierzy, prosząc go, by oznaczył porządek zapasów. Zdecydował on, że *retiarius* i *mirmillo* wystąpią pierwsi; potem walczyć będą dwaj *dimacharij*; następnie dwaj *andabates*. Okres pierwszy widowiska zamknąć miało rzucenie dwóch chrześcijan, mężczyzny i kobiety, na pożarcie dzikim bestjom. Lud oklaskiem przyjął ten program części pierws

szej widowiska, która miała trwać do południa. Przez drzwi z dwóch przeciwnych stron cyrku wystąpili dwaj pierwsi gladiatorowie.

Byli to, zgodnie z zapowiedzią, *mirmillo* i *retiarius*. Pierwszy, którego zwano także *secutor*, ponieważ częściej ścigał niż był ścigany, odziany był w krótką tunikę jasno-zielonego koloru w srebrne pręgi poprzeczne, objętą pasem miedzianym z koralową ornamentacją; miał także koturny z niebieskiej skóry, a prawą jego nogę ozdabiał nagolennik spiżowy od kostki aż do kolana; na głowie miał hełm, wyrobiony w kształcie łba żubrzego z długimi rogami, u lewego ramienia wielką, okrągłą tarczę, w prawej ręce dziryt i wykładaną ołowiem maczugę. Było to uzbrojenie Galów.

Retiarius trzymał w prawej ręce sieć a w lewej, bronionej małym puklerzem, długi, ostry, stalowy trójząb, osadzony na kiju klonowym; miał tunikę z sukna niebieskiego, nagolennik ze złożonego spiżu; twarzy nie osłonił; głowę przykrył czapką z niebieskiej wełny, przy której wisiała złota siatka.

Dwaj przeciwnicy zbliżali się ku sobie nie w prostej linii, lecz kołując. *Retiarius* trzymał sieć przygotowaną, a *mirmillo* potrząsał dzirytem. Gdy *retiarius* spostrzegł się dość blisko zapaśnika skoczył naprzód i rzucił na niego rozwiniętą sieć, ale żadne z jego poruszeń nie uszło uwagi *mirmilla*, który zręcznie cofnął się w tył tak, że sieć upadła u jego nóg, on zaś, zanim *retiarius* zdołał zasłonić się tarczą, cisnął w niego swój dziryt. Lecz i *retiarius* miał się na baczności, schylił się i pocisk, wymierzony w piersi, zdjął tylko z głowy wytworną ozdobę.

Wówczas retiarius, chociaż uzbrojony trójzębem, zaczął uciekać, wlokąc sieć za sobą, broni swej mógł bowiem użyć dopiero po oplątaniu nieprzyjaciela siecią. Mirmillo pognął za nim, ale pogoń utrudniała mu ciężka maczuga i to, że przez małe otwory w przyłbicy nie mógł dobrze widzieć. Retiarius tedy miał czas znów przygotować do rzutu sieć i zarazem osłonić się od przewidywanych ciosów.

Tymczasem secutor podjął swój dziryt i czapkę przeciwnika, którą zawiesił jako łup u pasa. Każdy z walczących znalazł się więc ze swoim orężem. Tym razem walkę rozpoczął mirmillon; dziryt, wyrzucony całą siłą prawicy, ugodził w tarczę przeciwnika; przebił pierwszą blachę spiżową, potem siedm ją powlekających rzemieni i zranił go w piersi.

Widzowie mniemając, że to cios śmiertelny, wołać zaczęli:

— *Habet! habet!*

Ale retiarius, odejmując od piersi puklerz, w którym tkwił dziryt, pokazał, iż zaledwie lekko został draśnięty. Na ten widok cały amfiteatr zabrzmiał okrzykami radości, obawiano się bowiem zbyt krótkich zapasów. Gładjatorów, którzy od razu zadawali ciosy śmiertelne, godząc w głowę przeciwnika — choć nie było to wzbronione — nie obdarzano oklaskami, przeciwnie, lżono ich i usuwano wzgardliwie z areny.

Teraz zaczął uciekać mirmillon, bo jego maczuga, oręż straszny, gdy ścigał rozbrojonego ze swej sieci retiarius, stawała się prawie bezużyteczną, gdy tamten miał sieć w gotowości; zbliżając się bowiem do przeciwnika, aby go uderzyć, musiał się jednocześnie wystawić na sploty sieci.

Ucieczka odbywała się według wszelkich prawideł, bo i ona była sztuką. Lecz i tym razem wielką dla mirmillona przeszkodą był hełm, a raczej przyłbica, rychło też retiarius tak się do niego zbliżył, że rozległy się z ław widowni krzyki, ostrzegające Galla, by się miał na baczności. Sposstrzegł, że będzie zgubiony, jeżeli się jak najprędzej nie pozbędzie hełmu, który był mu teraz tylko zawadą; nie przestając więc biec, odpiął żelazną sprzączkę i zerwawszy hełm z głowy, rzucił daleko od siebie. Poznano wówczas ze zdziwieniem młodzieńca z najszlachetniejszej rodziny rzymskiej, nazwiskiem Festus, który przywdział hełm z przyłbicą więcej dla zamaskowania się, niż dla obrony. Odkrycie to sprawiło, iż z nie równie większym zajęciem śledzono teraz przebieg walki.

Odtąd młody patrycjusz widoczną zaczął brać przewagę w pogoni za nieprzyjacielem, któremu bieg utrudzała tarcza, przebita dziirytym; nie chciał, wyjmując go z tarczy i odrzucając, dostarczyć oręża rozbrojonemu tym sposobem nieprzyjacielowi. Pobudzony jednak okrzykami widzów i nieustanną ucieczką przeciwnika, cisnął na ziemię tarczę z grotem i również swobodniej mógł się poruszać. W tej właśnie chwili mirmillon zatrzymał się nagle, odwrócił i wzniosł maczugę, rozmachując ją nad głową do ciosu. Retiarius ze swej strony przygotował sieć, ale zanim zdążył ją rzucić, już maczuga, jakby siłą machiny wyrzucona, świszcząc złowrogo, opisała łuk w powietrzu i ugodziła go w piersi. Zachwiał się retiarius i padł, oplątany zwojami własnej sieci. Festus wówczas wyrwał z tarczy przeciwnika swój dziiryt i przyłożywszy grot do gardła leżącego bez-

bronnice na ziemi, spoglądał na lud, aby się dowiedzieć, czy chce śmierci zwyciężonego, czy też mu żyć pozwoli. Wszystkie ręce podniosły się do góry, jedne złożone, inne pojedynczo, z odstawionym wielkim palcem. Niepodobieństwem było wśród takiego chaosu rozpoznać większości żądania, zaczęto przeto wołać: — Do westalek! Do westalek! — gdyż do nich się zwracano w wypadkach tego rodzaju wątpliwości. Festus zwrócił się ku podjum. Powstało dwanaście westalek: ośm z nich ukazywało odstawione palce, większość tedy była za śmiercią. Widząc to, retiarius sam ostrze dzirytu przysunął do właściwego miejsca na gardle, Festus zadał mu cios śmiertelny, a on skonał z okrzykiem:

— Cezar jest bogiem!

Lud przyklasnął zwycięzcy i zwyciężonemu, pierwszy bowiem zabił zręcznie, a drugi umarł z wdziękiem. Festus okrążył amfiteatr, dziękując skinieniem za oklaski, a gdy opuszczał arenę przez jedne drzwi, przez drugie wynoszono ciało współzawodnika.

Niewolnicy pozłacanymi grabiami zrównali piasek na arenie i zatarli ślady krwi, poczem ukazali się nowi zapaśnicy. Byli to dwaj dimacharij.

Ci walczyli bez hełmów, pancerzy, tarcz i nógolenników; w każdej ręce mieli po mieczu. Zapaśy ich przypominają owe pojedynki francuskie na sztylety z czasów Frondy. Wymagały one niezmierniej zręczności i uważane były za szczyt sztuki szermierczej, a stąd najbardziej były pożądane. Zdarzało się, że sami mistrzowie występowali do popisu. Tym razem walczył nauczyciel z uczniem. Ten ostatni tak się wyćwiczył w zawodzie, że czuł się na siłach zmierzyć się z mistrzem. Złe

obejście, jakiego od niego doznawał, zasiało w sercu jego nasiona nienawiści z pragnieniem zemsty, co jednak dotychczas najstaranniej taił. Wyczerpując sposobności, wciąż się ćwiczył, aby osiąść wszystkie tajniki trudnej sztuki. I oto sposobność się nadarzyła. Wśród ludu, tak zamięłowanego w szermierce, zapasy te wzbudziły niezmiernie zainteresowanie. Szermierze ci walczyć z sobą mieli po raz pierwszy naprawdę, bronią wyostrzoną. To też ukazanie się ich powitano burzliwymi oklaskami, które wtedy dopiero umilkły, gdy na skinienie cezara, przewodniczący igrzyskom dał znak rozpoczęcia walki.

Przeciwnicy zbliżali się ku sobie przeniknięci tą głęboką zawiścią, jaką obudza każde współzawodnictwo; ale ta sama zawiść, błyskawicami strzelająca z ich oczu, zaostriżyła ostrożność walczących, bo nietylko szło im o życie, lecz i o rozgłos, który jeden posiadał oddawna, a drugi ubiegał się oń w tej chwili.

Starły się miecze: dwa igrające węże, dwie krzyżujące się błyskawice łatwiej mogłyby być dostrzeżone w swych zmianach płomienistych ruchów, niż ruchy mieczów, któremi prawą ręką nacierali, gdy tymczasem mieczami lewej ręki, jakby tarczą, odbijali wzajem wymierzane ciosy. Przechodząc z ataku do obrony, uczeń cofnął nauczyciela aż pod łóżę cezara; potem nauczyciel przyparł ucznia aż do podium westalek; po chwili znowu obaj wrócili na środek cyrku, nietknięci, chociaż najmniej dwadzieścia razy każdy miecz tak blisko był piersi, że rozdarł tunikę, szukając pod nią serca. Nakoniec młodszy odskoczył w tył — widzowie krzyknęli:

— *Habet!*

Krew strumieniem spływała mu z pod tuniki po nodze, mimo to, więcej jeszcze zaciekle, znów rzucił się do walki i po dwóch starciach okazało się, że i nauczyciel uczył ostrze żelaza w swych żyłach. Tym razem jednak żaden okrzyk się nie rozległ z ław amfiteatru; naprężona ciekawość jest niema. Za każdym ciosem, zręcznie wymierzonym lub odpartym, rozlegał się tylko ów szmer głuchy, który objaśnia aktora, iż jeżeli mu publiczność nie przyklaskuje, czyni to dlatego, żeby nie przerywać gry.

Zapał walczących wzmagał się, miecze krzyżowały się coraz szybciej; zdawało się, że walka nie będzie rozstrzygnięta i że ją przerwie dopiero wyczerpanie sił. Nauczyciel, cofając się przed uczniem, pośliznął się i upadł: noga trafiła na miejsce zbroczone krwią; uczeń, korzystając z tej przypadkowej przewagi, rzucił się na niego z zapaścią. Ku wielkiemu zdziwieniu widzów, żaden z nich się nie podnosił. Cały amfiteatr powstał wznosząc w górę złączone dłonie.

— Wolność i życie! — wołano.

Zapaśnicy wciąż leżeli nieruchomie. Wówczas wszedł na arenę kierownik igrzysk, niosąc dzielnym szermierzom palmy zwycięstwa od cezara i różdżki wolności. Ofiarował je umarłym, bo zapaśnicy, splótłszy się rękoma, zadusili się w uścisku.

Wystąpić teraz mieli *andabatae*, zapewne dla urozmaicenia programu. Te zapasy nie wymagały sztuki ni zręczności, szermierze bowiem mieli głowy całkiem osłonięte hełmami, w których znajdowały się tylko otwory przy ustach i przy uszach — walczyli tedy na ślepo. Lud atoli niezmiernie lubił tę straszną „ślepą babkę“, w któ-

rej każdy cios był niebezpieczny, bo zapaśnicy nie posiadali nic, coby go odwrócić lub osłabić mogło.

W chwili, gdy te ofiary zostały wprowadzone na arenę wśród wybuchów śmiechu widzów, Anicetus zbliżył się do cezara i wręczył mu listy. Nerón czytał je z wielkim niepokojem, a przy ostatnim twarz mu się dziwnie zmieniała. Czas pewien jakby się namyślał, następnie wstał i wyszedł spiesźnie, polecając, aby nie przerywano igrzysk. Nie był to wypadek nadzwyczajny. Często się zdarzało, że pilne sprawy powoływały cesarów z igrzysk na Forum, do Senatu albo do Palatynu, co bynajmniej nie trwożyło widzów. I tym więc razem nie zwrócono uwagi na oddalenie się cezara, a nawet z zadowoleniem patrzano na opuszczającego swe miejsce władcę. Lud, pozbywszy się krępującej go obecności pana, uczuł się zupełnie swobodny i lepiej się bawił.

Igrzyska tedy trwały w dalszym ciągu. *Andabatae*, wprowadzeni na arenę, poruszali się niezgrabnie, usiłując odnaleźć się i zbliżyć do siebie za pomocą słuchu i przy jego pomocy starając się odgadnąć niebezpieczeństwo.

Wywiązywały się stąd sceny komiczne. Jeszcze byli daleko od siebie, a już wzięli się do oręża, lecz miecze ich siekły tylko powietrze.

Widzowie, śmiejąc się, objaśniali ich fałszywie krzykami:

— Naprzód! Śmiało! Na prawo! Na lewo!

Oni, słuchając tych wskazówek, coraz bardziej się oddalali, aż znaleźli się tyłem odwróceniem do siebie, nie przestając machać mieczami. Szydercze śmiechy wyprowadziły ich z błędu. Po niejakiem czasie udało im się zbliżyć wzajem i rozpocząć walkę. Miecze się skrzyżowały, jeden z za-

paśników otrzymał cios w udo, drugi w lewe ramię. Znow się potem oddalili, a ponieważ nie mogli się rychle odszukać, jeden położył się na ziemi, podsłuchując kroki przeciwnika. Gdy ów się zbliżył, leżący ciał go silnie mieczem. Tamten cofnął się, zaczepił nogą o leżącego i sam upadł w pobliżu. Podniósł się jednak zaraz, przykleknął i kreśląc mieczem koła po arenie, trafił wreszcie na szyję leżącego przeciwnika w miejscu przez hełm nieosłoniętem. Zamach był tak silny, że ściał głowę przeciwnika, jak brzytwą. Głowa potoczyła się w swej żelaznej powłoce na bok, a kadłub drgnął, brocząc krwią i po chwili dopiero znieruchomiał. Pozostały przy życiu gladiator, słysząc okrzyki ludu, zrozumiał, że zadał śmiertelny cios przeciwnikowi. Wstał nie wiedząc co się stało i wciąż się jeszcze bronił, siekąc mieczem powietrze. Trwało to dopóty, póki na arenę nie wszedł przełożony igrzysk i nie zdjął mu hełmu, mówiąc:

— Zwyciężyłeś, jesteś teraz wolnym.

Poczem wyprowadził go przez drzwi, zwane *sana vivaria*, ponieważ tamtędy wychodzili oczyszczeni szermierze, gdy trupy wynoszono przez *spoliarium*, rodzaj korytarza, biegnącego pod ławami amfiteatru. Tam na rannych oczekiwali lekarze, i przechadzali się poważnie dwaj ludzie, jeden przebrany za Merkurego a drugi za Plutona; Merkury miał obowiązek sprawdzać, czy w ciałach, napozór martwych, nie tleją jeszcze iskry życia, a dokonywał tego dotykając końcem kaduceusza, rozpalonego w ogniu; Pluton zabijał młotem tych, których lekarze uznali za nieuleczalnych.

Skoro ślepi szermierze znikli z areny, zgłęb wielki zapanował w cyrku w oczekiwaniu na be-

stjarjów, t. j. zapaśników, walczących z dzikimi zwierzętami. Tym razem zapaśnikami mieli być chrześcijanie. Zwykle przy tych zapasach sympatja ludu była po stronie szermierzy, ale gdy w ich roli występowali znienawidzeni wyznawcy nowej wiary, przerzucała się na stronę zwierząt. Tak było i teraz.

Tłum obiecywał sobie obfitą ilość krwawych wrażeń, więc niecierpliwił się. Lżono niewolników, że zbyt wolno przywracali do porządku krwią obluźganą arenę. Niewolnicy spieszyli się usilnie, wkrótce też zjawiły się nowe ofiary.

Ukazały się najprzód kobieta w szacie białej i takąż okryta zasłoną. Przyprowadzono ją do wkopanego pośrodku drzewa i przywiązano do niego w połowie ciała. Jeden z niewolników zdarił z niej zasłonę, a widzowie ujrzeli twarz wspaniale piękną, bladą, z wyrazem spokojnej rezygnacji. Tłum zaszemrał. Chociaż młoda dziewczica była chrześcijanką, jednak wzbudziła współczucie wśród tych rzesz, rzadko się wzruszających i zwykle zajadłych w nienawiści. Po chwili na arenie ukazał się młodzieniec. Zawsze bowiem do walki z dzikimi bestjami stawiano chrześcijanina i chrześcijankę, dając pierwszemu wszelkie środki obrony; a to dlatego, aby usiłowanie ocalenia życia nie tylko własnego lecz i swej towarzyszki, którą była zwykle jego siostra, kochanka lub matka, pobudzając nową odwagę w bracie, kochanku lub synu, przedłużało zapasy, od których się zawsze prawie usuwali chrześcijanie spragnieni męczeństwa, chociaż wiedzieli, że zostaną wolni, jeżeli pokonają trzy pierwsze zwierzęta, jakie na nich wypuszczą.

Młody chrześcijanin, chociaż odrazu można

w nim było poznać odwagę, siłę i zręczność, również nie myślał walczyć z żarłocznymi bestjami. Gdy mu niewolnicy podali miecz, dwa oszczepy i przyprowadzili numidyjskiego rumaka, on wstrząsnął głową, przeszedł się po arenie, spojrział wzrokiem spokojnym po przypatrujących mu się z gorączkowem oczekiwaniem tłumach, potem dał znak ręką, że nie chce konia ani broni, padł na kolana wzniosł oczy w niebo i zaczął się modlić. Lud zawiedziony w oczekiwaniach, zaczął szemrać i grozić. Zgromadził się na widowisko, a nie na męczeństwo. Gdy groźby nie pomogły, zaczęto wołać:

— Na krzyż! Na krzyż!

Ów wrzask nappełnił młodzieńca rozkoszą — twarz mu się rozjaśniła, oczy zapłonęły odbłaskiem przeczuwanych niebiańskich błogości. Wyciągnął rękę do tłumu, dziękując mu za wyrok śmierci męczeńskiej. W tej chwili usłyszał za sobą głębokie westchnienie dziewczeczki.

— Wołasz mnie, Akteo? — zapytał.

— Sylasie, zlituj się nade mną — szepnęła błagalnie Aktea — gdym cię ujrziała, promień nadziei wstąpił w me serce. Tyś mężny, silny i nawykły do walki z mieszkańcami lasów i pustyń; gdybyś chciał walczyć, możebyś nas oboje ocalił...

— A męczeństwo? — przerwał Sylas, ukazując na niebo.

— A cierpienie?, — rzekła Aktea, zwiesiwszy głowę na piersi. — Niestety! jam nie miała szczęścia urodzić się, jak ty, w mieście świętem; jam nie słuchała słów Prawdy z ust Tego, dla którego mamy umierać. Jestem córką Koryntu, wychowaną w religji mych przodków; dzisiejsza wiara moja jest nowa, a wyraz męczeństwo znany mi

jest zaledwie od dnia wczorajszego. Może miała bym odwagę sama umrzeć wśród męczarni, ale nie będę mogła patrzeć na twoje udręczenia... Zlituj się Sylasie...

— Dobrze, stanę do walki — rzekł Sylas — jestem bowiem pewny, że nie minie mnie to szczęście, które mi dzisiaj wydzierasz.

To rzekłszy, dał rozkazujący znak niewolnikom i zawołał wyniośle:

— Konia, miecz i oszczepy!

Usłyszawszy rozkaz Sylasa, tłum grzmiącemi wybuchnął oklaskami, spodziewając się, że ujrzy walki herkulesowe, zdolne wstrząsnąć do głębi najbardziej wygasłe serca.

Sylas zbliżył się do konia: był on także synem Arabji. Dwaj współziomkowie poznali się; człowiek przemówił do konia kilka wyrazów w języku nieznanym, a szlachetne zwierzę zarżało, jakby pojmując ich znaczenie. Wówczas Sylas zrzucił z grzbietu konia siodło, uwolnił go od wędzidła, a rumak wdzięcznemi skokami okazywał radość z uwolnienia go od tego jarzma, które obrażało jego dumę.

Z kolei Sylas odrzucił te części odzieży, któreby mu swobodę ruchów krępowały, zwinął swój płaszcz czerwony około lewego ramienia, pozostał tylko w tunice i zawoju. Przypasał potem miecz. wziął do ręki oszczepy, przywołał konia, który mu był posłuszny, jako ułaskawiona gazella, dosiadł go, trzykroć okrążył drzewo, do którego była przywiązana Aktea, podobny do Perseusza, występującego w obronie Andromedy. Rumaka kierował tylko głosem i dotknięciem kolan; znać było, że duma Araba zaczęła brać górę nad pokorą chrześcijanina.

Rozwarły się wielkie drzwi pod podium i po-
tężny byk z Korduby, podrażniony przez niewol-
ników, wpadł rycząc na arenę, przebiegł kilka
kroków, a oślepiiony blaskiem i ogłuszony okrzy-
kami tłumów, stanął, usiłując zrozumieć, co się
z nim dzieje. Spostrzegłszy Sylasa, zmierzył go
krwawym wzrokiem, pochylił olbrzymi łeb i za-
czął przednimi nogami miotać piasek pod brzuch,
rył nogami ziemię, buchając z nozdrzy parą. Rzu-
cono mu wtenczas pod nogi wór słomą wypcha-
ny, mający podobieństwo postaci ludzkiej. Zwierz
skoczył do niego, aby stratować kopytami mnie-
manego wroga. Gdy był tem zajęty, Sylas cisnął
włócznię, która utkwiała głęboko w łopatce ol-
brzyma. Wstrząsnął się byk, zaryczał z bólu i ze
łbem spuszczoneym, znacząc za sobą na piasku
ślad krwi, zwrócił się ku nowemu napastnikowi.
Ten, pozwoliwszy mu się zbliżyć, uskoczył nagle
w bok, a gdy byk w rozpędzie go mijał, Arab
drugi dziryt utopił mu w boku. Zwierz stanął,
nogi się pod nim zachwiały, lecz po chwili od-
zyskał siły i natarł na jeźdźca, który szybko za-
czął uchodzić.

Rozpoczęła się gonitwa dokoła amfiteatru.
Zwierz widocznie słabł, biegł coraz wolniej, wresz-
cie padł na przednie kolana. Po chwili zerwał
się, rycząc straszliwie i snąc odstąpiwszy zamiaru
dopędzenia Sylasa, rozglądał się dokoła, szukając
nowej ofiary, na której mógłby wyrzucić swą
wściekłość. Spostrzegł Akteę. Rzucił się ku niej.
Koryntjanka krzyknęła trwożnie. Czuwał jednak
nad nią Sylas. Puścił się za bykiem, dognał go
w kilku susach, z konia na jego grzbiet przesko-
czył, ująwszy lewą ręką róg, łeb mu na bok prze-
kręcił, a prawą zadał cios śmiertelny, wbijając mu

w piersi miecz aż po rękojeść. Zwierz zachwiał się i padł o pół włóczni od Aktei, która wyblaśdła, drżąca, z zamkniętymi oczyma oczekiwała śmierci, była bowiem pewna, że ją byk strątuje i rozszarpie. Okrzyki i oklaski tłumów oznajmiły jej zwycięstwo Sylasa — wtedy dopiero otworzyła oczy.

Trzej niewolnicy weszli na arenę. Dwaj z nich prowadzili konie, które zaprzęgli do byka, aby go wywlec ze szrank; trzeci trzymał w ręku amforę z winem i czarę, którą napelnił i podał Syłasowi. Ten lekko zwilżył w niej usta i innej broni zażądał. Przyniesiono mu łuk, strzały i nowy oszczep, potem wszyscy spieszenie opuścili arenę, bo pod lożą cezara podniosła się krata, i wspinały lew Atlasu wkroczył majestatycznie na widowie.

Miał istotnie pozór króla zwierząt. Znalazłszy się wśród potoków światła, zaryczał tak donośnie, że wzdrygnęli się widzowie, a i rumak numidyjski zarżał z przestachu. Sam tylko Syłas, oswojony z tym głosem potężnym, który tyle razy słyszał w pustyniach swej Ojczyzny, rozścielających się od jeziora Asfaltyny do źródeł Mojżesza, spokojnie przygotowywał się do walki, ukryty za drzewem, wkopany blisko tego, do którego przywiązana była Aktea. Tam przyczajony kładł na cięciwę najostrzejszą ze swoich strzał.

Tymczasem lew nie przewidując niebezpieczeństwa, kroczył po arenie z dawnym majestatem: niekiedy zatrzymywał się, poziewał i piasek areny zamiatał kiciastym ogonem. Niewolnicy zaczęli go jątrzyć z ukrycia, miotając na niego chorągiewki w jaskrawych barwach. Zwierz nie

wychodził jeszcze z równowagi. Naraz świsnęła strzała Sylasa i utkwiała w łopatce króla pustyni. Lew zatrzymał się, okazując więcej zadziwienia niż bólu, jakby nie wierząc, aby mogła znaleźć się tak zuchwała istota, któraby go śmiała wezwać do walki. Lecz gdy ból się zwiększył, zwierzę wstrząsnął się, ślepią krwią mu nabiegły, otworzył paszczę i wydał ryk, podobny do grzmotu, wybiegającego z pieczary podziemnej; potem wyrwał strzałę z rany, skruszył ją w zębach, rzucając dokoła spojrzenie tak straszne, że widzący, chociaż odgradzeni od areny żelazną kratą, cofnęli się w tył z przerażeniem. Lew widocznie szukał przedmiotu, na którymby swój gniew królewski mógł wyrzucić. W tej chwili spostrzegł konia, który porzucony przez swego jeźdźcę, drżał, jak gdyby wyszedł z lodowatej kąpieli, chociaż był okryty potem i pianą. Na widok ofiary, lew, wydawszy kilka krótkich, ostrych ryków, odsadził się i potężnym skokiem zbliżył się do niej o dwadzieścia kroków.

Zaczęła się wówczas druga gonitwa, jeszcze ciekawsza od pierwszej, bo tym razem umiejętność człowieka nie tamowała zwierzęcych instynktów; siła i szybkość mierzyły się z całą swą dziką energją, a oczy dwustu tysięcy widzów odwróciły się na chwilę od dwojga chrześcijan, śledząc za tą fantastyczną pogonią z namiętne rozciekawieniem. Drugi skok znów znacznie zbliżył lwa do konia, który wparty w głąb cyrku, nie śmiąc zwrócić się w prawo ani w lewo, przeskoczył przez głowę swego nieprzyjaciela, a ten ścigał go nierównymi skokami, jeżąc grzywę i wydając co chwila ostry ryk, na który koń odpowiadał pełnem trwogi rżeniem. Trzy razy

jeszcze rumak przesunął się po arenie z szybkością błyskawicy, podobny do mitycznego zjawiska, do piekielnego bieguna, odprężonego od rydwanu Plutona, a za każdym razem lew zbliżał się do niego bez widocznych wysiłków, biegnąc z nim już teraz niemal równolegle. Wreszcie koń widząc, iż ująć nie zdoła, stanął przy kracie dęba, bijąc konwulsyjnie powietrze przedniemi nogami. Wówczas lew zaczął zbliżać z wolna, jak zwycięzca, pewny, że mu ofiara już ująć nie zdoła; chwilami przystawał, ryknął, grzywą wstrząsnął, szarpnął piasek szponami i znowu się zbliżał. Rumak stał pewien czas, jak odrętwiały, jakby przybity do miejsca strasznym wzrokiem wroga, potem padł i rzucał się rozpaczliwie po piasku. W tej chwili druga strzała wyleciała z łuku Sylasa i utkwiała głęboko między żebrami lwa. Człowiek przychodził na pomoc koniowi i zwracał na siebie wściekłość lwa, którą ten niedawno od niego odwrócił.

Lew zrozumiałwszy, że w pobliżu znajduje się wróg niebezpieczniejszy, od tego, którego pokonał samym wzrokiem, spostrzegł Sylasa, gdy ten, dobywszy z za pasa trzecią strzałę, kładł ją szybko na cięciwę. Zwierz stał przez chwilę, jakby badając człowieka, a korzystając z tego, Syłas wyrzucił nowy pocisk, raniąc nim kark zwierza. To, co potem nastąpiło, wydało się jakby zwrotami huraganu. Lew rzucił się na człowieka, człowiek przyjął go oszczepem, potem człowiek i lew potoczyli się razem na ziemię. Ujrzano wylatujące w powietrze szmaty ciała, a najbliżsi widzowie zostali przejęci dreszczem.

Aktea jękiem rozpaczny pożegnała Sylasa. Nie miała już obrońcy, ale nie miała i nieprzyjaciela,

lew, tyle tylko przeżył człowieka, ile potrzeba było do zemsty: śmierć kata nastąpiła jednocześnie ze zgonem ofiary. Koń nie żył, chociaż go lew nie dotknął.

Niewolnicy usunęli z areny, wśród szalonych wrzasków, przeplatanych oklaskami, trupy człowieka i zwierząt.

Teraz wszystkie oczy zwróciły się ku Aktei, którą śmierć Sylasa pozbawiła obrony. Dopóki widziała go żyjącym, nie traciła nadziei ocalenia. Zrozumiała, że z jego śmiercią wszystko się dla niej skończyło, usiłowała więc za niego i za siebie nieść modły, które jednak gasły w niewyraźnych dźwiękach na jej ustach pobladłych i zmarzniętych. Była wprawdzie chwila, że się zaczęło objawiać dla niej współczucie wśród tłumu, który wziął ją zrazu za Żydówkę, teraz zaś poznał, że była Greczynką. Kobiety zwłaszcza i młodzież zaczęli szemrać, a niektórzy powstali, chcąc się domagać dla niej łaski. Lecz oto na ławach wyższych rozległy się krzyki: — Siedzieć! Siedzieć! — bo podniosła się krata, a z pod niej wysunęła się tygrysica.

Ujrzawszy się wolną, przypadła do ziemi i oglądała się dokoła groźnie, ale spokojnie i bez zdziwienia; potem wciągając w nozdrza powietrze, czołgać się zaczęła jak wąż ku miejscu, gdzie zginął koń: tu wspięła się i wsparła o kratę, gryząc pręty, których on dotykał, potem zaryczała lekko, obwąchując żelazo, piasek, powietrze i usiłując zbadać, gdzie się podział łup, który zwęszyła. Teraz poczuła też zapach cieplej krwi i wyziewy świeżo rozszarpanego ciała, gdyż niewolnicy jeszcze nie zrównali piasku. Wciąż węsząc, skierowała się ku drzewu, przy

którem odbyła się walka Sylasa z lwem, pożera-
jąc po drodze strzępy rozszarpanego ciała. Za-
trzymawszy się przy kałuży krwi, zaczęła ją chłę-
ptać, porykując. Wypiwszy krew, znów się roz-
glądała już ze ślepiami roziskrzonymi i wtenczas
dopiero ujrzała Akteę, która, zamknawszy oczy,
oczekiwała na śmierć.

Spostrzegłszy ofiarę, bestja przypadła brzu-
chem do ziemi i zaczęła się czołgać ku niej uko-
sem, a gdy się znalazła od niej o dziesięć kro-
ków, podniosła nozdrza i węszyła z dziwną uwa-
gą; nakoniec jednym skokiem przesadziła prze-
strzeń, dzielącą ją od chrześcijanki i znalazła się
tuż przy niej. Wszyscy myśleli, że Aktea zosta-
nie w mgnieniu oka rozszarpana na sztuki. Tym-
czasem stała się rzecz nadzwyczajna. Tygrysica
pokornie i pieszczotliwie łąsiła się u stóp chře-
ścijanki, wydając przyjazne mruczenie. Zdurnio-
na Aktea otworzyła oczy i poznała swą niedawną
przyjaciółkę, a Febe również poznała swoją pa-
nią. Była to bowiem ulubiona tygrysica cezara.

Tłum, nieznający stosunku, jaki zachodził po-
między chrześcijanką a tygrysicą, oniemiał z po-
dziwu. Zaczęto szeptać, iż wola bogów ukróciła
srogość bestji i oto ze wszystkich stron ozwały
się wołania:

— Łaski! Łaski!

Aktei zresztą po wytrzymaniu trzech prób,
z prawa należała się łaska. Tłum rozgłośnie przy-
pominał to prawo, a przechodząc, jak zwykle, od
okrucieństwa do litości, rzucał ocalonej dziewczicy
złote łańcuchy, wstęgi, kwiaty i wieńce.

Spełniając żądanie ludu, wszedł na arenę Li-
bikus, czarny dozorca tygrysicy i przeciął sznury,
ktoremi Aktea była przywiązana do drzewa.

Ocalona dziewczica upadła na ziemię, nie mogąc się utrzymać na nogach, tak ją wyczerpały przebyte wrażenia. Widząc to, Libikus podniósł ją i prowadził ku drzwiom *sana vivaria*, przeznaczonym dla zwycięskich gladiatorów. Tam oczekiwały na nią niezliczone tłumy, bo heroldowie już oznajmili zawieszenie igrzysk, aż do godziny piątej wieczorem.

Na widok ocalonej, rozległy się znów oklaski i okrzyki, chciano ją w triumfie obnosić po mieście na rękach. Ale ona złożyła dłonie błagalnie, prosząc, by ją zostawiono w spokoju. Zastosowano się do jej woli. Lud rozstąpił się przed nią, a ona udała się do świątyni Djany i usiadła za kolumną przysionka, lejąc łzy rześiste, bo sama była na świecie, bez ojca, kochanka, obrońcy i przyjaciela: ojca porzuciła sama, kochanek o niej zapomniał, a Paweł i Syłas ponieśli śmierć męczeńską.

Gdy noc nadeszła, przypomniała sobie, że jeszcze jej pozostała wielka rodzina chrześcijan, udała się przeto do katakumb.

Wieczorem, o godzinie zapowiedzianej, rozpoczęła się druga część widowiska w cyrku. Przybył i cesarz, zasiadł w swej łoży, zabawa odbywała się według programu. Gdy zmrok zapadł, Neron przypomniał sobie, iż przyrzekł ludowi dać widowisko przy blasku pochodni. Przyrzeczenia dotrzymał. Do dwunastu słupów żelaznych przywiązano dwunastu chrześcijan, owiniętych płachtami, napuszczonemi smolą i siarką, i te żywe pochodnie zapalono. A przy ich blasku ukazali się na arenie nowi zapaśnicy i nowe bestje...

Nazajutrz rozeszła się w Rzymie wiadomość,

że listy, które odebrał cesarz podczas widowiska, a które tak silnie go poruszyły, oznajmiały o buncie legji hiszpańskiej i galijskiej, pod dowództwem Galby i Windeksa.

VI

W trzy miesiące po opowiedzianych wypadkach, przy schyłku dżdżystego dnia, pięciu jeźdźców wyjechało z Rzymu przez bramę Nomentańską i udało się drogą tejże nazwy. Jadący przodem nie miał na nogach obuwia, odziany był w tunikę niebieską, na którą narzucił wielki ciemny płaszcz, a głowę osłonił tak szczelnie, że twarzy nie można było dostrzec. Uczynił to może z powodu ulewnego deszczu, a może dlatego, żeby nie być poznany.

Deszcz padał rześystszy, wkrótce zaś połączył się z nim huragan, ze straszhwemi grzmotami i błyskawicami. Lecz na burzę nie zwracano uwagi, bo na ziemi dziwne się działy rzeczy. Tu równie burza szalała. W ogrodach cesarza słyhać było krzyki, podobne do wrzawy rozhukanego oceanu. Po drogach snuły się tajemnicze gromady, a żołnierze pretorjańscy, opuściwszy swe koszarę w obrębie Rzymu, obozowali poza miastem, za bramami Salaryjską i Nomentańską, gdyż tu czuli się bezpiecznie. Słowem była to jedna z tych złowrogich nocy, podczas których odbywają się przewroty na niebie i ziemi.

Gromadką jeźdźców, dążącą drogą Nomentańską, miała pozór ludzi strwożonych, uchodzących przed niebezpieczeństwem. Jej przywódca

snać był przedmiotem szczególnego gniewu bogów i ludzi, bo gdy opuszczał Rzym, ziemia za drżała w swoich posadach. Wstrząśnienie to było bardzo silne, a objęło przestrzeń od krańca Appennin do podnóża Alp. Powtórzyło się ono kilkakrotnie przyczem ziemia tak się kołysała, że konie tajemniczych jeźdźców przypadały na kolana. Gdy jeźdźcy owi przebywali most, rzucony przez Tyber, zauważyli, iż rzeka, zamiast płynąć normalnie ku morzu, zwróciła się burzliwie ku źródłom swoim, co się raz tylko zdarzyło, a mianowicie w chwili, gdy Juliusz Cezar został zamordowany. Niebawem jeźdźcy znaleźli się na wzgórzu, z którego można było objąć wzrokiem cały Rzym. Stał tam cyprys tak stary, jak to miasto. Sędziwego drzewa nie tknęły największe huragany, oszczędziły go najburzliwsze przewroty społeczne, a oto teraz strzaskał go piorun, jednocześnie zaś tajemniczą gromadkę owionął jakby obłok płomienny.

Przywódca gromady, za każdą groźbą żywiołów, wydawał głuche jęki i mimo ostrzeżeń towarzyszy, naglił konia do pośpiechu. O pół mili od miasta, spostrzeżono gromadę wieśniaków, którzy nie zważając na burzę, dążyli do Rzymu i to w świątecznych szatach, z czapkami wyzwoleńców na głowach. Na ten widok, człowiek z zasłoniętą twarzą chciał zwrócić w bok i uchodzić przez pole; ale towarzysz ujął konia jego za uzdę i zmusił do pozostania na drodze. Gdy wieśniacy się zbliżyli, jeden z nich zapytał tajemniczych jeźdźców:

— Czy jedziecie z Rzymu?

— Tak jest — odpowiedział towarzysz zasłoniętego jeźdźcy.

— Cóż tam słysząc o Ahenobarbie?

Człowiek zasłonięty zadrżał.

— Podobno uciekł — rzekł towarzysz.

— A czy wiadomo dokąd?

— Ku Neapolowi. Mówią, że go widziano na drodze Appijskiej.

— Dzięki wam — rzekli wieśniacy i udali się dalej, wznosząc okrzyki:

— Niech żyje Galba! Śmierć Neronowi!

Okrzykom tym zawtórowały głosy obozujących za miastem pretorjanów.

Tajemniczy jeźdźcy spotkali o pół mili cały oddział żołnierzy.

— Coście za jedni? — zapytał jeden hastatus, zagradzając im drogę swą włócznią.

— Stronnicy Galby, szukamy Nerona — odparł jeździec.

— Życzę wam lepszego szczęścia niż nasze — rzekł dekurjon.

— Jakto?

— Powiedziano nam, że Neron uchodzi tą drogą, spostrzegłszy przeto człowieka, pędzącego galopem, mniemaliśmy, że to był on.

— I cóż?... — zapytał głosem drżącym osłonięty.

— Zabiliśmy go — odparł dekurjon — lecz obejrawszy trupa, przekonaliśmy się, żeśmy się pomylili; bądźcie więc szczęśliwsi i niech was Jowisz prowadził!

Osłonięty chciał znów pędzić galopem, lecz towarzysze znów mu zatrzymali konia. Jechał zatem dalej wolno. O pięćset kroków, koń jego potknął się o trupa, leżącego na ziemi i tak gwałtownie w bok uskoczył, że zasłona opadła z tarczy jeźdźcy. W tej chwili nadjechał żołnierz pretorjański, wracający z urlopu.

— Witaj cesarzu! — zawołał, spostrzegłszy jadącego naprzeciw.

Poznał Nerona przy blasku błyskawicy.

Był to istotnie Neron — on to się potknął o trupa człowieka, którego wzięto za niego. Neron, którego wszystko w tej chwili trwożyło, którego zmienne koleje losu ze szczytu potęgi wtrąciły w to oplakane położenie. Neron, kryjący się, zbiegły, szukający ratunku od śmierci, której nie miał odwagi sam zadać sobie lub z innej ją przyjmując ręki.

Cofnijmy się teraz wstecz, aby się dowiedzieć, co go przywiodło do takiej niedoli.

Właśnie wówczas, gdy wchodził do cyrku, gdzie go witały okrzyki: — Niech żyje Neron Olimpijski! Neron Herkules! Neron Apollo! Neron August! zwycięzca całego świata! Chwała jego głosowi boskiemu! Szczęśliwi ci, którzy napawać się mogą jego niebiańskimi dźwiękami — wtedy właśnie goniec z Galji wpadł do miasta bramą Flamińską na koniu potem i pianą okrytym, przebiegł pole Marsowe, przebył łuk Klaudjusza, okrążył kapitol, wpadł do cyrku i straży czuwającej przy łożu cesarza oddał listy, które z tak daleka i tak skwapliwie przewoził. Były to listy, po odczytaniu których Neron opuścił cyrk tak spiesźnie.

Oznajmiały one, iż groźny bunt wybuchnął w Galji.

Państwo Rzymskie było wówczas zagrożone na wszystkich niemal swoich kresach. W Germanji niższej Fontejus Kapiton, w Galji Windeks, w Hiszpanji Galba, w Luzytanji Otton, w Afryce Klaudjusz Macer, w Syrji Wespazjan — wszyscy oni z legjami swemi tworzyli groźny łańcuch,

który za lada skinieniem opasać mógł stolicę. Ma-
łej tylko do zapalenia pożaru potrzeba iskiej, a tę iskierkę zatlił Juljusz Windeks.

Pretor ów, rodem z Akwitacji, pochodzący z rodziny królewskiej, człowiek z dzielnem ser-
cem i mądrą głową, pojął, że nadszedł już czas, upadku rodu cesarów. Bez żadnych względem samego siebie widoków, szukał człowieka, któryby mógł liczyć na sympatję ogólną. Z drugiej strony Pireneów sąsiadem jego był Sulpicjusz Galba, słynny z licznych zwycięstw w Afryce i Germanji. Oddawna już go powoływały do władzy legendy gminu i wyrocznie bogów. Windeks wyprawił do niego potajemne listy, żądając, ażeby wystąpił otwarcie jako kandydat do władzy i ofiarując mu pomoc stu tysięcy Gallów.

Zawsze lękliwy i chwiejny Galba, tym razem również usposobienia nie zmienił; otrzymane listy spalił aby żadnego nie zostawić śladu, ale całą ich osnowę zachował w pamięci.

Windeks rozumiał, że Galba chciał być sil-
niej popchnięty: nie przyjął przymierza, ale też nie zdradził tego, co mu je ofiarował. Przygodo-
wał więc wszystko już pewnie i po raz drugi do niego napisał.

Po przybyciu na rozkaz Nerona do Hiszpanji, Galba wszelkimi siłami starał się zaskarbić so-
bie popularność. Nikt nie mógł powiedzieć, żeby upoważniał prokuratorów do gwałtów, natomiast wiedziano, że starał się ich nadużycia powścią-
gnąć i głośno ubolewał nad krzywdzonymi. Wszy-
scy, co go otaczali, znali dokładnie jego zamiary, ale nigdy on sam nie zwierzał się z nich nikomu. Gdy odebrał listy Windeksa, zaprosił przyjaciół na wspaniałą ucztę, podczas której oznajmił im

o wrzeniu w Galji i odczytał powtórne wezwanie Windeksa, żadnych o niem od siebie nie czyniąc uwag, natomiast na ich radę się zdając. Zdumienie ogarnęło wszystkich. Długo panowało milczenie. Wreszcie Venius, energiczniejszy od innych, zwrócił się ku Galbie i patrząc mu w oczy przenikliwie, rzekł:

— Według mnie, Galbo, tu niema się co namyślać. Pozostają tylko dwie drogi: albo przyjąć propozycję Windeksa, zawrzeć z nim sojusz i tem samem wystąpić przeciw Neronowi; albo oskarżyć go przed cezarem i wypowiedzieć mu wojnę. Co do ostatniego, nie uważałbym tego za słuszne. Czy można bowiem potępiać Windeksa za to, że chce, aby Rzymianie mieli tak dobrego władcę, jak ty?

Galba zaś rzekł wymijająco:

— W dniu piątym przyszłego miesiąca mam obdarzyć w Nowej Kartaginie wolnością kilku niewolników. Jeżeli nic wam nie przeszkodzi, przybądźcie tam.

Przyjaciele oświadczyli, że stawiają się z pewnością i zaraz rozgłosili, iż rozstrzygną się tam losy Państwa Rzymskiego.

Jakoż w dniu oznaczonym zgromadzili się w Nowej Kartaginie wszyscy najznamienitsi obywatele Hiszpanji, a gdy Galba się ukazał, jednomyślnie go ogłosili cezarem.

VII

Takie wiadomości zawierały listy, które Neronowi doręczono w cyrku. Dowiedział się z nich

przytem, że Windeks w swych proklamacjach nazywał go nędznym śpiewakiem i to go najwięcej ubodło. Nie mogąc mu przebaczyć tej zniewagi, zażądał od Senatu, aby surowo ukarał Windeksa, potem znów w dalszym ciągu prowadził dawny, ohydny tryb życia, jakby zapominając o groźnem położeniu. A pogarszało się ono z każdą chwilą. Bunt w Hiszpanji i Galji rozszerzał się coraz bardziej.

Galba zebrał gwardję przyboczną z wyborowego żołnierza i utworzył rodzaj Senatu. Z pomiędzy wszystkich wodzów, prefektów i pretorów, jeden tylko nie przyłączył się do buntu, lecz nie przez sympatję dla Nerona, ale dlatego, że Windeks był cudzoziemcem, Galbę zaś uważał za człowieka chwiejnego umysłu i słabego charakteru, obawiał się przeto, iżby Rzym nie ucierpiał na tej zmianie. Był nim Wirginjusz. Utrzymał on swoje legje w wierności dla Nerona i powiódł do walki ze zbuntowanymi Gallami, pragnąc ocalić — jak mówił — państwo od hańby poddania się władzy nieprawowitej.

Gallowie dotrzyмали swych zobowiązań. Wodzowie trzech najliczniejszych ludów tego kraju: Sekwańczyków, Eduensów i Awernijczyków, zgromadzili się około Windeksa. Wirginjusz, z swojej strony, miał pod sobą legje Germanji, posiłkowe wojsko Belgów i jazdę Batawów. Z temi siłami stanął pod miastem Bezanson, które trzymało z Galbą i zaczął je oblegać; lecz zaledwie uczyniono pierwsze przekopy, ukazały się w oddali zastępy Windeksa.

Gallowie powoli zbliżali się ku oczekującym Rzymianom i gdy się znaleźli od nich o trzy strzelenia, zatrzymali się, by sprawić szyk bojowy.

Wówczas Windeks wezwał Wirginjusza na poufną rozmowę. Na przestrzeni, rozdzielającej dwa wojska, rozpięto namiot, do niego udali się obaj wodzowie, a ich strażę czuwały dookoła namiotu.

Rozmowa odbyła się w cztery oczy. Windeks zwierzył się Wirginjuszowi z zamiarów, a ten przekonawszy się, iż działał nie dla siebie, lecz na rzecz Galby, zawarł z nim sojusz. Postanowili udać się razem na Rzym i właśnie mieli oznajmić to wojsku, gdy wielkie krzyki dały się słyszeć na prawem skrzydle armji. Z Bezanson wyszła cenzura, z zamiarem połączenia się z Gallami, a gdy ci chcieli zbliżyć się do niej, żołnierze Wirginjusza, sądząc, że zamysłają na nich uderzyć, sami postąpili ku nim, pragnąc uprzędzić napad.

Ten oto był powód wrzasków, które usłyszeli wodzowie. Każdy z nich rzucił się do swych szeregów zaklinając żołnierzy, aby się zatrzymali; ale głos ich stłumiły krzyki Gallów, którzy przytem podnieśli puklerze. Krzyki te wzięto za wrogie oznaki, a nieporozumienie wywołało straszliwe skutki. Obie strony, bez wodzów, bez szyku, wiezione starą nienawiścią zwyciężonych do zwycięzców, rzuciły się na siebie z zajądlnością dzikich bestyj. Rozpoczęła się rzeź obustronna. W przeciągu dwóch godzin padło Gallów 20.000, a Germanów i Batawów 16.000. Wreszcie Gallowie się cofnęli. Nazajutrz w namiocie, gdzie wodzowie wczoraj się porozumiewali poufnie, znaleziono zwłoki Windeksa. Widząc, że szlachetne nadzieje jego jak dym się rozwiały, sam się życia pozbawił, rzucając się na miecz. Żołnierze Wirginjusza, którzy znaleźli ciało, zażądali nagrody, utrzymując, iż to oni zabili wodza nieprzyjaciół. Nagrodę otrzymali, lecz dzieląc się nią, poswarzyli się, a je-

den, uważając się za pokrzywdzonego przy podziale, wyjawiał prawdę.

W Hiszpani również zaszły pomyślne dla Nerona wypadki. Jeden z legionów sprzysiął się przeciwko Galbie i gdy ten udawał się do kąpieli, uderzył na niego w wąskiej uliczce. Galba cudem prawie uniknął niebezpieczeństwa. Ponieważ jednocześnie dowiedział się o klęsce Gallów i śmierci Windeksa, więc zwątpił o sprawie, wszystko poczytał za stracone i już zgóry czując się zagrożony, ukrył się w warownym Klunium. Wkrótce jednak wróżby pomyślne przywróciły mu nadzieję. Było ich wiele. Gdy schroniwszy się do Klunium, polecił wzmocnić jego mury, pewien żołnierz, przy pierwszym zagłębieniu rydla w ziemię, wydobyl kosztowny starożytny pierścień z wyobrażeniem bogini Zwycięstwa. Pierwszą tą wróżba znacznie uspokoiła Galbę. Udawszy się dnia tego na spacer, zobaczył we śnie posąg Fortuny, który wzniosł tej bogini w willi swej Fondi. Bogini oznajmiła mu, iż zbyt już długo oczekuje na jego przybycie i jeżeli niezwłocznie do niej nie pośpieszy, innego obdarzy swemi względami. A willa Fondi znajdowała się przy drodze do Rzymu. Gdy się obudził, oznajmiono mu, iż do Dertozy, miasta położonego nad Ebrem, zawinął okręt pełen broni, lecz bez sternika i majtków. Te wróżby i wiele jeszcze innych utwierdziły go w przekonaniu, że zamysłem jego sprzyjają bogowie.

Neron zaś groźne wypadki lekceważył. Bunt ucieszył go nawet, gdyż dawał powód do nałożenia na zbuntowaną ludność nowych podatków tytułem kary. Zadowolili się więc posłaniem Senatu odezwy Windeksa, domagając się, jak już nam dmieniliśmy, ukarania go surowo za to zwłaszcza, że śmiał go nazwać nędznym śpiewakiem. Polecił

następnie najcelniejszym obywatelom Rzymu, aby jak najszybciej stawili się u niego. Wezwani sądząc, iż tu idzie o radę w sprawach państwowych, przybyli niezwłocznie. Ale Neron przedstawił im nowo wynaleziony organ wodny, tłumaczył im misterne urządzenie onego, nadmieniając złośliwie:

— Pokazałbym to wszystko publicznie w teatrze, gdyby Windeks na to pozwolił.

Dopiero, gdy otrzymał nowe listy donoszące, iż wojsko Gallów liczyło już 100.000 ludzi, zaczął myśleć o przygotowaniach do wojny. Wydawał najdziwniejsze rozporządzenia. Kazał sprowadzić wozy do teatru i swego pałacu, a na nie ułożyć instrumenty muzyczne. Następnie powołał pod broń ludność miejską, a gdy nikt się nie stawił, polecił obywatelom wolnym dostarczyć pewną liczbę niewolników, sam odwiedzał ich domy, wybierając ludzi najmłodszych i najsilniejszych, nie wyłączając nawet rządców dworskich i sekretarzy. Zgromadził potem 400 najpiękniejszych ladaczników, kazał im ostrzyć włosy, a uzbroiwszy je w topory i amazońskie puklerze, przeznaczył ten oddział do straży przy swej osobie. Udał się z kolei na ucztę, a wracając z niej, wsparty na ramionach Faona i Sporusa, rzekł do oczekujących na niego obywateli, iż niema wcale powodów do obawy, gdyż dość mu będzie ukazać się Gallom, przemówić do nich, a uznają się za zwyciężonych, on zaś hymn triumfu zanuci i zaraz go nawet układać pocznie.

W kilka dni nowy goniec przybył z Galji. Tym razem przynosił dobre wieści: oznajmiał o spotkaniu się legij rzymskich z Gallami, o porażce tych ostatnich i o śmierci Windeksa. Neron wydał okrzyk radości, jak szalony biegał po komnatach i ogrodach pałacu, nakazał nowe igrzyska i widowiska, zapowiadając, iż sam śpiewać będzie

w teatrze wieczorem i zapraszając cenniejszych obywateli na wielką ucztę nazajutrz.

Jakoż udał się do gimnazjum wieczorem, ale po drodze zauważył, iż w mieście dzieje się coś dziwnego. Spostrzegł jeden ze swych posągów nakryty worem, a w wory zaszywano wówczas ojcowie i matkobójców, wraz z małpą, kotem, żmiją i topiono w Tybrze. Dalej nieco, na kolumnie spostrzegł następujący napis: „Neron śpiewał tak wiele, że obudził *koguty*“¹⁾). Dalej jeszcze usłyszał, że jakiś patrycjusz grozi i złorzeczy swoim niewolnikom, a gdy posłał dowiedzieć się, co ci ludzie panu swemu zawinili, odpowiedziano mu:

— Zdradzili jego zaufanie, przeto domaga się on na nich *vindexa* ²⁾).

Widowisko rozpoczęło się sztuką, w której grał aktor Eatus. Rola jego zaczynała się od tych wyrazów:

— Pozdrowienie memu ojcu, pozdrowienie mej matce.

Gdy to mówił, zwrócił się ku Neronowi i uczynił gest picia i pływania, co przyjęto jednomyślnym oklaskiem, zrozumiano bowiem, że aktor przypomina morderstwo Klaudjusza i Agrypiny. Neron też śmiał się i przyklaskiwał z innymi, czując, że gdyby okazał urazę, przyznałby się niejako do morderstwa.

Gdy przyszła kolej na niego, opuścił łóżę, aby się ukazać na scenie, lecz gdy się ubierał do wystąpienia, rozeszła się między widzami wiadomość, że uschły laury Liwji i że wszystkie jej kury pozdychały.

Wiadomość ta niemałe wywarła wrażenie. Trze-

*) Galli — koguty. **) Vindex — mściciel.

by bowiem wiedzieć, że gdy Liwja Druz'la, małżonka cesarza Oktawjusza, siedziała razu pewnego przed willą swoją w Wejach, orzeł ze szczytu obłoków upuścił na jej kolana białą kurę, która nie tylko nie była zraniona, ale nie zdawała się być przełknięta. Zdziwiona Liwja, oglądając kurę spostrzegła, iż trzyma ona w dziobie gałązkę lauru. Wieszczykarze uznali to za znak bogów i polecieli Liwji, aby zasadziła laur i hodowała kurę, nadmienając, że dopóki trwać będą rozmnożone z tej kury ptaki i rozwinięte z gałęzi drzewa, dopóty ród jej istnieć będzie i trwać przy władzy najwyższej. Jakoż z gałęzi lauru wyrósł cały gaj, a kura tak się rozmnożyła, że miejscowość nad Tybrem, o dziesięć mil od Rzymu, otrzymała nazwę *ad Gallinas*, t. j.: kurzej. Otóż nagle wyschnięcie owego gaju laurowego i wyginiecie potomstwa kury Liwji wzięto za nieomylną przepowiednię upadku Nerona i jego rodu.

Złowroga wiadomość silnie poruszyła Nerona. Ukazał się jednak na scenie, ale tu nowy czekał go omen. Mimo, że rolę swoją poprzedził pokorną do widzów przemową, w której zapewniał ich, że wszelkich sił użyje, aby zasłużyć na ich względy, nie mógł wywołać zajęcia. Słuchano go obojętnie, w głębokim milczeniu, nie zachęcając oklaskami, co się nigdy nie zdarzyło. On, zawsze pewny siebie, teraz drżał i jękał się. Dopiero gdy wypowiedział ten wiersz:

— Małżonka moja, mój ojciec i moja matka, wszyscy pragną mej śmierci.

— Wtedy dopiero huczne zagrzmiały oklaski, a ich znaczenia było oczywiste. Zrozumiał je i Neron. Szybko tedy opuścił scenę, lecz na schodach, zaplątawszy się w powłóczystej szacie,

upadł i zranił się w policzek. Podniesiono go bez zmysłów, ocucono i przeniesiono do pałacu.

Tam zamknął się w swej komnacie, drżąc z trwogi i gniewu. Uspokoiwszy się nieco, wziął do rąk tabliczki i skreślił na nich cały szereg straszliwych projektów, którym brakło tylko jego podpisu, aby się stały rozkazami. Zamierzał tedy oddać Gallów na rabunek żołnierstwu; wytruć cały Senat, zaprosiwszy senatorów na ucztę; podpalić Rzym ze wszystkich stron i jednocześnie wypuścić wszystkie dzikie bestje, aby ów lud niewdzięczny, który tak widocznie żądał jego śmierci, został zgładzony ze szczętem... Po chwili odsunął tabliczki i rzucił się na łożo, ażeby we śnie nowych doznać udręczeń.

Śniło mu się bowiem, że się zbłąkał wśród nocy na wzburzonym morzu, że mu ktoś z rąk wydierał ster okrętu, którym kierował. Potem został nagle przeniesiony do teatru Pompejusza, gdzie czternaście posągów Koporjusza, wyobrażających narody Rzymowi podległe, zeszło ze swych podstaw i gdy jeden z nich zagradzał mu drogę, inne otoczyły go kołem, które wciąż się zmniejszając, zaczęło go dusić marmurowym uściskiem. Z trudem zdołał się wyrwać z objęć posągów i biegł blady, zdyszany, bez głosu przez pole Marsowe, a gdy mijał mauzoleum Augusta, drzwi grobowca roztwarły się same i z głębi dało się słyszeć trzykrotne wołanie. W tej chwili oknał się, powstał z łoża drżący, z włosiem najezonym, z czołem potem oblanem, zwołał ludzi, rozpytywał się, co słyhać w mieście, a gdy go zapewniono, że spokój panuje zupełny, kazał sprowadzić Sporusa, z którym resztę nocy spędził.

Z nadejściem dnia, znikły trwogi nocne, ale nie ustąpiła obawa, lęk, niepewność; tak, że wzдры-

gał się co chwila. Kazał przywołać gońca, który przywiózł wiadomość o śmierci Windeksa. Był to jeździec batawski, świadek stoczonej pod Bezan-son walki. Neron kilkakroć powtarzać sobie kazał szczegóły tej bitwy, a nadewszystko śmierci Windeksa i uspokoił się dopiero, gdy mu żołnierz przysiągł na Jowisza, iż na własne oczy widział trupa, okrytego ranami i przygotowanego do grobu; wówczas cesarz kazał mu wyliczyć sto tysięcy sestercyj i darował własny pierścień.

Nadeszła godzina obiadu. Goście cesarza zgromadzili się w Palatynie; przed ucztą, zaprowadzono ich, podług zwyczaju, do łaźni, a gdy wychodzili z kąpeli, niewolnicy przynieśli każdemu białą togę i wieniec kwiatów. Neron czekał na nich w triclinium, odziany również w białą togę, z wieńcem na głowie. Położono się na łóżach przy dźwięku rozkosznej muzyki.

Obiad był urządzony z całym przepychem uczty rzymskich: przy nogach każdego biesiadnika leżał niewolnik, gotów na każde jego skinienie; przy stole oddzielnym jadł parazyta, rodzaj błazna, a w głębi sali, na wzniesieniu, tancerki wschodnie z nieporównanym wdziękiem i lekkością, odtwarzały swawolne gonytwy Zefira i Flory.

W miarę spełniania czar, ożywiała się biesiada, stawała się też coraz rozwiązlejsza. Tancerki zastąpione zostały przez kuglarzy, a gdy oszaleńcze doszło do rozpasania, Neron ujął cytrę i śpiewał strofy, wyszydzające Windeksa, przy czem wykonywał gesty i ruchy ohydne. Biesiadnicy przyklaskiwali mu z zapalem. Wtedy właśnie zjawił się nowy posłaniec z listami z Hiszpanji, oznajmującymi o wyniesieniu Galby na godność cesarza.

Neron oczom nie wierzył; kilkakroć odczyty-

wał listy, to błędąc, to czerwieniejąc. Naraz porwał dwie wspaniałe wazy, które bardzo cenił i nazywał homerycznemi, ponieważ były ozdobione malowidłami, wyobrażającemi epizody z „Iliady“, rzuciwszy je o ziemię, strzaskał na drobne czerepy, potem upadł na łożę, szarpał odzież, tłukł głową o krawędź stołu, wołając, iż spotyka go niesłychane, nieznane na świecie nieszczęście, bo czy słyszana jest rzeczą, aby cesarz tracił władzę za życia... Na te szalone krzyki, przybiegła mamka jego, Auclage, objęła go rękami jak dziecko, starając się uspokoić. Ale słowa pociechy drażniły zrozpaczonego i wkrótce wyrzekania zmieniły się w wybuch niepohamowanego gniewu. Kazał sobie podać trzcinę i papyrus, ~~na~~ którym skreślił rozkazy do wodza pretorjanów. Podpisawszy je, szukał swego pierścienia, aby wycisnąć nim swój znak monarszy, zapomniawszy, że klejnot ten darował gońcowi z Galji. Nie mogąc znaleźć pierścienia, zażądał innego od Sporusa, który podał mu własny. Neron, nie obojętnie klejnotu, przycisnął go do wosku, lecz gdy rzucił okiem na odcisk, zadrżał, spostrzegł bowiem, że pieczęć wyobrażała zejście Prozerpiny do piekieł. Była to nowa przepowiednia, a w danej chwili zaiste straszliwa. Czy to posądzając Sporusa, że mu podał taki pierścień umyślnie, czy w przystępie szału, gdy się zbliżył do niego ulubieniec, pragnąc się o przyczynie nagłego gniewu dowiedzieć, Neron, nie zwracając uwagi na liczne zgromadzenie, uderzył go pięścią w twarz tak silnie, że Sporus krwią się zalał i upadł zemdłony.

Potem Neron zerwał się nagle z łoża i nie zęgnając się z nikim, udał się do swej komnaty, rozkazując przywołać Lokustę.

Tym razem dla siebie samego cesarz odwoływał się do tajemniczej sztuki starej swej przyjaciółki. Przepędzili z sobą noc całą, a Lokusta w jego obecności przyrządziła wielce subtelną truciznę. Neron, umieścił ją w złotej puszcze, którą ukrył w spręcie drewnianym, z tak kunsztownym zamknięciem, że go tylko on sam i Sporus umiał otworzyć.

Tymczasem wiadomość o zamiarach Galby z szybkością piorunową rozchodziła się po wszystkich prowincjach państwa. Nie była to już groźba odległa i niepewna, rozpaczliwy zamysł cudzoziemca, ale poważnie obrachowany i już w czyn się przyoblekający zamysł patrycjusza, którego ród od wieków był w Rzymie znany i poważany; który był wnukiem Kwintusa Katulusa Kapitolina, obywatela wsławionego w dziejach Ojczyzny świetnymi cnotami i zasługami; który wreszcie sam cieszył się ogólną sympatją i popularnością.

Sympatja zaś owa wzrastała tembardziej, im więcej się mnożyły powody niechęci dla Nerona. Ten ostatni, zajęty igrzyskami i orgjami, zapomniał wydać rozkazów, które wydać był powinien jako prefekt Annoni, wskutek czego okręty, mające przywieźć zboże z Sycylii i Aleksandrii, wypływały wtenczas zaledwie, gdy już wrócić powinny. Opóźnienie to spowodowało w przeciągu dni kilku niesłychane podrożenie zboża i głód. Rzym cały miał oczy nieustannie zwrócone na południe, a ilekroć jaki okręt zbliżał się do portu Ostji, wysłegał na brzeg Tybru. Nazajutrz też po dojściu nowin o obwołaniu Galby ceszarem, lud zgłodniały i zniechęcony napelniał Forum, gdy ujrzano z da-

leka okręt, płynący Tybrem ku Rzymowi. Natychmiast wszystko, co żyło, pobiegło do portu Oelius. Wszyscy mniemali, że statek ten poprzedza okręty, wiozące zboże — wszyscy przeto dążyli na jego spotkanie z okrzykami radości. Ale srodze się omylono: statek przywoził piasek z Aleksandrii dla wysypania aren cyrkowych. Gdy się o tem dowiedziano, powstało głośnie szemranie i złorzeczenia.

Wśród rozgoryczonego tłumu znajdował się wyzwoleniec Galby, Icelus. Rozszerzał on na wszystkie strony pochwały dla swego pana i jego daleko sięgające obietnice, gdy jakiś młodzieniec, z twarzą osłoniętą palium, wręczył mu ukradkiem tabliczki, wypełnione pismem. Icelus przebiegł je oczyma, a na jego twarzy zajaśniał wyraz triumfu. Były to bowiem tabliczki, na których Neron nocy ubiegłej kreślił niedoszłe rozkazy spalenia po raz drugi Rzymu, który nie chciał przyklaskiwać jego popisom aktorskim, i wypuszczenia zwierząt drapieżnych, aby Rzymianie nie mogli ognia ugasić. Icelus tedy przeczytał głośno otrzymane pismo, ale zemsta podobna tak się wydała ohydna i wprost szalona, że nikt jej nie chciał uwierzyć, a nawet zaczęto krzyczeć, że pismo odczytane przez Icelusa było wymyśloną potwarzą. Lecz Nimphidus Sabinus wziął z rąk wyzwolenca tabliczkę i przyjrząwszy się jej bacznie oświadczył, że nie tylko poznaje doskonale pismo Nerona, ale nadto jemu wyłącznie właściwy sposób mazania, przekreślania i dopisywania. Takiemu świadectwu nie można było przeczyć, bo Nimphidus Sabinus, jako prefekt pretorjatu, miał często sposobność oglądania własnoręcznego pisma Nerona.

W tej chwili ukazali się senatorowie, w ubiorze zaniedbanym, bez płaszczów; szli do Kapitolu, do

kąd ich powoływał przewodniczący Senatu, który również tajemniczą drogą otrzymał tabliczkę z pismem Neronu, wyjawiającem zamiar wytrucia wszystkich senatorów podczas uczty proszonej.

Neron z wierzchołka tarasu pałatyńskiego przyglądał się czas pewien wzburzonym tłumom, potem zeszedłszy do ogrodów Serwiljusza, posłał wyzwolenca Faona do naczelnika pretorjanów. Ale posłaniec Galby uprzedził w obozie posłańca cezara. Nimphidus Sabinus przyrzekł w imieniu owego cezara siedm tysięcy pięćset drachm na każdą głowę załogi rzymskiej, a dla każdego żołnierza wojsk, znajdujących się w prowincjach, po tysiąc dwieście pięćdziesiąt drachm. Odpowiedział więc naczelnik pretorjanów Faonowi, że może tylko za taką samą sumę dać Neronowi pierwszeństwo. Faon przyniósł to oświadczenie cesarzowi. Ale suma żądana wynosiła czterysta dwadzieścia siedm milionów, siedmset czterdzieści trzy tysiące pięćset złotych na naszą monetę, a skarb państwa był wyczerpany rozrzutnością cezara bez miary tak, iż Neron nie posiadał ani dwudziestej części tej sumy. Jednak nie stracił nadziei. Noc się zbliżała, mógł więc osłonięty ciemnością udać się do swych starych przyjaciół i przy ich pomocy, zgromadzić potrzebną sumę.

Wyszedł tedy z ogrodów Serwiljusza, przywdziewszy odzież człowieka z gminu; lecz napróżno chodził z domu do domu, napróżno wzywał i błagał, serca i drzwi były przed nim zamknięte. Zrozumiał wówczas, że ani jednej chwili już nie miał do stracenia i nie wracając już do ogrodów Serwiljusza, skierował się ku Palatynowi, dla zabrania złota i kilku kosztownych klejnotów. Okrążywszy fontannę Jowisza i świątynię Westy,

przekradł się chyłkiem, pod zasłoną cienia pałaców Tyberjusza i Kaliguli, do swych wspaniałych ogrodów, które miał za chwil kilka opuścić na zawsze, stamtąd zaś wszedł do Złotego Pałacu i przez skryte korytarze, dotarł do swoich komnat. Stanąwszy na progu, osłupiał...

Podczas jego nieobecności, rozbiegły się strażnicy Palatynu, unosząc z sobą wszystko, co tylko znalazły pod ręką: kołdry atalickie, naczynia srebrne, sprzęty najkosztowniejsze. Pobiegł do szkatułki, w której schował truciznę Lokusty -- ale nie było już tam puszki złotej, a z nią znikła ostatnia jego ucieczka. Rzucił się wtedy twarzą na ziemię i wołał z całej siły o ratunek.

Trzy osoby przybiegły: Sporus, Epafroditos, jego sekretarz, i Faon, jego wyzwoleniec. Na ich widok, Neron podniósł się na jedno kolano, a wyszczytując z ich twarzy smutnych i ponurych, że już nie było nadziei, rozkazał Epafroditowi przywołać gladiatora Spikulusa, lub kogokolwiek innego, aby go zabił. Prosił potem Sporusa i Faona, którzy przy nim zostali, aby zanucili hymn rozpaczny, który śpiewać zwykły najmowane do placu przy pogrzebach kobiety. Zabrział tedy hymn żałobny, a jeszcze go nie skończyli, gdy wrócił Epafroditos. Ani Spikulus, ani też nikt inny przyjść nie chciał. Wówczas Neron opuścił ręce, wołając:

— Niestety! niestety!... nie mam więc ani przyjaciół, ani wrogów!

Chciał potem wyjść z Palatynu, biedz do Tybru i utopić się. Ale zatrzymał go Faon, ofiarując mu swój dom wiejski, położony o cztery mile od Rzymu, między drogami Salaryjską i Nomentańską. Neron przyjął ofiarę. Przygotowano pięć ko-

ni. Dosiadł jednego, twarz okrył zasłoną i w towarzystwie Sporusa, który go ani na krok nie odstępował, zostawiwszy Faona w Palatynie, aby mu przyniósł nowiny, przez bramę Nomentańską wyjechał drogą, na której opuściliśmy go w chwili, gdy został poznany przez żołnierza przy blasku błyskawicy.

Mała gromada zbliżyła się наконец ku willi Faona, położonej tam, gdzie dzisiaj Serpentara. Ta wioska, ukryta za górą Świętą, mogła służyć za schronienie Neronowi przynajmniej do czasu, dopóki nie zdoła zadać sobie śmierci, gdy go już wszystkie środki ocalenia miną. Epafrodites, który znał drogę, stanął na czele i zboczył na pole. Neron udał się za nim, dwaj zaś wyzwolenicy i Sporus tworzyli straż tylną. Po chwili usłyszeli szmer jakiś na drodze: Neron tedy i Epafrodites więcej jeszcze zboczyli, gdy Sporus i dwaj wyzwolenicy jechali około góry Świętej. Szmer był spowodowany przez patrol, wysłany, pod dowództwem centurjona, w pościgu za cezarem. Sporus i wyzwolenicy zostali zatrzymani, lecz gdy między nimi nie znaleziono Nerona, pozwolono im udać się w swoją drogę.

Tymczasem Neron i Epafrodites zmuszeni byli zsiąść z koni, gdyż dolina zarzucona była odłamami skal i bryłami ziemi, wyrwanymi z łożysk podczas trzęsienia, które dało się uczuć w chwili, gdy mała gromadka wyjeżdżała z Rzymu. Ciernie i chwasty do krwi kaleczyły gołe nogi Nerona i szarpały na nim płaszcz. Ujrzeni nakoniec czarną jakąś masę w cieniu. Pies zaczął szczekać poza murem, przy którym się znaleźli. Idąc przy murze, dotarli do jaskini, z której wydobywano piasek. Otwór jej był niski i ciasny. Neron, przejęty

trwogą, położył się na brzuchu i wpelznął do środka. Wówczas szepnął mu Epafrodites, że obejdzie mur wokół, zakradnie się do willi i dowie się, czy cesarz będzie mógł udać się tam bez pieczeni.

Neron, zostawszy sam w jaskini, uczuł strach wielki, zdało mu się, że jest już w grobie, którego drzwi zamknięto nazawsze. Wyszedł tedy z jaskini pospiesznie. O kilka kroków ujrzał kałużę. Tak silne pożerało go pragnienie, iż nie mógł się powstrzymać od zwilżenia ust. Podłożywszy więc płaszcz pod nogi dla uchronienia się od ostrych kamieni i cierni, zawlókł się do kałuży, zaczerpnął z niej dłonią owej wstrętnej wody, którą połknął chęciwie, poczem spoglądając w niebo, rzekł z wyrzutem:

— Takież to ostatni napój Neronal

Przez pewien czas siedział nad brzegiem kałuży zamyślony, ponury, wyjmując ciernie, uwięzione w płaszczu, gdy nagle ozwał się głos, wołający go po imieniu. Zadrżał z przestachu. Obróciwszy się, spostrzegł Epafroditesa z pochodnią w ręku. Sekretarz dotrzymał słowa. Dostawszy się przez drzwi główne do willi i wskazawszy wyżwolencom miejsce, gdzie był cesarz, wspólnymi siłami przebili mur stary i skruszały, aby mógł się tą drogą dostać z jaskini do willi. Neron, tak skwapliwie pobiegł za przewodnikiem, że zapomniał płaszcza nad brzegiem kałuży. Wrócił do jaskini, a z tej przeszedł do małej izdebki niewolnika, słabo oświetlonej małą glinianą lampą, w której znajdował się barlog ze szmat i stara opończa do przykrycia.

Neron usiadł na barlogu i oparł się grzbietem o ścianę; będąc spragnionym i głodnym, prosił

o pokarm i napój. Przyniesiono mu kęs czerstwego chleba i czarę z wodą. Spojrzawszy na chleb, odrzucił go ze wstrętem, a wodę uznał za zbyt zimną, prosił więc, żeby mu ją ogrzano. Udano się spełnić to żądanie, on zaś, znów sam zostawszy, wsparł głowę o kolana i siedział nieruchomy w tej postawie. Drzwi się otworzyły. Mniemając, że mu przynoszą wodę, Neron uniósł głowę i ujrzał Sporusa z listem w ręku.

Na bladej twarzy eunucha, zwykle znużonej i smutnej, malowała się tak okrutna, dzika radość, że Neron wpatrywał się w nią ze zdumieniem, jak gdyby jej nie poznawał. Sporus postąpił ku niemu i podał mu pergamin. Domyślił się Neron, że w piśmie tem niepomyślna dla niego mieściła się nowina. Nie biorąc przeto listu do ręki, zapytał:

— Od kogo mi to przynosisz?

— Od Faona — odparł Sporus.

Neron pobladł i zagadnął po chwili:

— A wiadoma ci treść pisma?

— Senat uznał cię za zdrajcę, kazał cię odnaleźć i przyprowadzić na plac kaźni...

— Mnie, na plac kaźni! — zawołał Neron. przypadając na jedno kolano — na plac kaźni mnie! Klaudjusza cezara!...

— Nie jesteś już Klaudjuszem cezarem — odparł zimno Sporus — jesteś Domitius Ahenobarbus, uznany za zdrajcę i skazany na śmierć!...

— Zdrajca... na śmierć... — zawołał Neron, porywając się na nogi. — Ale mogę jeszcze uciekać, mam jeszcze czas do ucieczki, mogę się schronić w lesie Larycji, w bagniskach Minturnijskich, stamtąd dostanę się na jaki okręt, ukryję się w Sycylii lub w Egipcie...

— Uciekać! — powtórzył Sporus dziwnym tonem. — Uciekać? A którędy?

— Tędy! — zawołał Neron, rzucając się ku otworowi, przez który się dostał z jaskini — mogę wyjść tędy, ponieważ tą drogą wszedłem.

— Wszedłeś, to prawda, ale nie wiesz, iż zaraz potem zawalono otwór jaskini tak silnie, że chociaż jesteś doskonałym atletą, wątpię, czybyś mógł odepchnąć skalę, którą otwór zamknięto.

— Na Jowisza, to prawda! — jęknął Neron, napróżno wyętzając wszystkie siły do odepchnięcia głazów. — Kto zamknął tę jaskinię? Kto przystoczył tę skalę?

— Ja i wyzwoleńcy — odparł Sporus.

— Dlaczegoż to uczynił? — dlaczegoś mnie zamknął, jak Kakusa w pieczarze?

— Żebyś w niej umarł, jak on! — rzekł Sporus z wyrazem strasznej nienawiści.

— Umrzeć! umrzeć! — jęczał Neron, uderzając się w głowę — czy cały świat chce mojej śmierci? czy już wszyscy mnie opuścili?

— Tak zaiste — potwierdził Sporus —, cały świat chce, żebyś umarł, ale nie wszyscy cię opuścili. Widzisz przecież, że ja tu jestem i umrzeć chcę z tobą.

— Tak, tak — mruknął Neron, padając znowu na barlog — tak, to wierność.

— Mylisz się cesarze — rzekł Sporus, krzyżując ręce na piersiach i wpatrując się dziwnie przenikliwie w Nerona — to nie wierność, to zemsta.

— Zemsta! — zawołał Neron zdumiony — zemsta! I cóżem ci uczynił, Sporusie?...

— Coś mi uczynił? — powtórzył Sporus, zbliżając się tuż do niego i roześmiewszy się gorzko, począł mówić gwałtownie: — Oto z dziecka, któś

re żyć zaczęło aby zostać człowiekiem, aby mieć udział w uczuciach ziemi i rozkoszach nieba, uczyniłeś najnieszczęśliwszą istotę, która do niczego nie miała prawa, dla której zgasły wszystkie radości świata... Przykuty do mej nicości i niedoleństwa, widziałem przed sobą wszystkie ponęty życia, wszystko, co się nazywa uszczęśliwieniem, patrzałem na to wszystko, jak Tantal na owoce i wodę, których nie mógł dosięgnąć. To niedość. Gdybym mógł cierpieć i płakać w szatach żaloby, w milczeniu i samotności, możebym ci jeszcze przebaczył; ale jak możni tego świata, musiałem przywdziewać purpurę, uśmiechać się, jak szczęśliwi, żyć między ludźmi, jak ci, co żyją prawdziwie, ja, biedny cień, biedna mara, biedne widziadło!

— Czegóż więc chciałeś? — rzekł Neron lekko. — Dzieliłem z tobą moje bogactwa, moje rozkosze, moją potęgę; byłeś uczestnikiem wszystkich moich triumfów, jak ja sam, miałeś pochlebców i dworzan? A gdym już nie wiedział, co ci dać jeszcze, obdarzyłem cię mojem imieniem...

— Właśnie za to cię nienawidzę, Neronie! Gdybyś kazał mię otruć, jak Brytannika, zamordować, jak Agrypinę, otworzyć żyły, jak Senece, — mógłbym ci przebaczyć teraz, gdy śmierć nad tobą wisi... Ale nie uważałeś mię ani za mężczyznę, ani za kobietę; obchodziłeś się ze mną, jak z cackiem, z którym można uczynić wszystko, co się podoba; jak z marmurowym posągim, ślepym, niemym, bez serca i czucia. Te łaski, o których prawisz mi teraz, były to tylko ozłoczone upokorzenia; im większą okrywałeś mię sromotą, im wyżej wynosiłeś mię nad innych, tem snadniej każdy zmierzyć mógł moją hańbę. I to jeszcze

nie wszystko. Kiedym ci podał przedwczoraj ów pierścień, zamiast mnie zabić sztyletem, przez co byś wzbudził mniemanie w tych wszystkich, którzy przy tem byli, żeś wart był śmiertelnego ciosu, tyś uderzył mię pięścią, jak słuzalca, jak niewolnika, jak psa!

— Tak, tak — rzekł Neron — zbłądziłem w samej rzeczy. Przebacz mi, mój dobry Sporusie...

— A jednak — mówił dalej Sporus — ta istota bez imienia, bez nazwiska, bez przyjaciół, bez serca, jeżeli nie mogła czynić dobrze, mogła szkodzić przynajmniej; mogła dostać się nocą do twojej komnaty, wykraść twoje tabliczki, skazujące na śmierć Senat i lud i rozrzucić je, jakby siłą wiatru i burzy, na Forum i Kapitolu, a to dlatego, żebyś ani od Senatu, ani od ludu nie mógł spodziewać się przebaczenia; mogła również ukryć puszkę z trucizną Lokusty, abyś bez żadnej obrony wpadł w ręce tych, którzy cię szukają dla zadania ci hańbiącej śmierci.

— Mylisz się! — zawołał Neron, wydobywając z pod sukni sztylet — mylisz się! Zostaje mi jeszcze to żelazo.

— Tak, ale nie odważysz się użyć go ani dla siebie, ani dla drugih.

— W każdym razie, jestem tu tak dobrze ukryty, iż mię nie znajdą — rzekł Neron.

— Możebyś istotnie zdołał się ukryć przed poszukiwaniami, gdybym przed chwilą nie spotkał centurjona i nie powiedział mu, gdzie cię znajdziesz. On już jest tutaj... słyszysz... to jego krok!

— Nie będę nań czekał — rzekł Neron, przykładając ostrze sztyletu do serca — uderzę... i skończę z życiem...

— Nie odważysz się — powtórzył Sporus.

— A jednak — mruczał Neron po grecku, szukając ostrzem sztyletu miejsca właściwego do zadania ciosu, przyczem dłoń mu dygotała konwulsyjnie — jednak nie godzi się, żeby Neron nie miał umrzeć... O świecie... jak wielkiego tracisz we mnie artystę...

Nagle zatrzymał się, wyciągnął szyję, najcięży mu się włosy, krople potu wystąpiły na czoło, bo rozległ się nowy hałas u drzwi; słuchał przez chwilę, potem zacytował wiersz Homera:

„Już słyszę tentent szybkońogich rumaków.“

W tej chwili wpadł do izby Epafrodites.

Nie omylił się Neron — przybyła pogoń szukająca go.

Ani chwili czasu nie było do stracenia, jeżeli chciał uniknąć hańbiącego zgonu. Odprowadził Epafrodita na stronę, kazał mu przysiądz na Styks, że nie wyda jego głowy nikomu, raczej go spali całego, potem wyciągając sztylet powtórnie, oparł ostrze jego na szyi.

Znowu rozległ się hałas, ale tym razem bliższy, groźniejszy. Wówczas Epafrodites uchwycił rękę Nerona, uzbrojoną sztyletem i pchnął ją tak, że żelazo aż po rękojeść utkwilo w szyi, potem wybiegł ze Sporusem z izdebki, drzwi zamykając za sobą.

Neron krzyknął przeraźliwie, wyrwał z ranv i daleko rzucił od siebie sztylet, przypadł na jedno kolano, potem na drugie; wsparłszy się lewą ręką o ziemię, usiłował prawą zatamować krew, która mu bluzgała przez palce; obejrzał się po raz ostatni dokoła z wyrazem niewysłowionego prześrażenia, a widząc się samotnym, upadł na ziemię z przeciagłym jękiem.

W tej chwili we drzwiach ukazał się centurjon.

Spostrzegłszy leżącego nieruchomie Nerona, rzucił się do niego i usiłował zatrzymać płynącą z rany krew połą od płaszcza. Lecz Neron, zbierając ostatek sił, odepchnął go od siebie, spojrzął na niego groźnie i skonał.

Wieczorem przybyła do willi jakaś kobieta, poważna, blada, smutna, choć młoda i piękna. Otrzymała ona od powiernika Galby, Icelusa, który do czasu przybycia swego pana, wydawał w Rzymie rozkazy, pozwolenie oddania ostatecznej posługi Neronowi. Rozebrała zmarłego, obmyła krew, którą ciało jego było zbroczone, owinęła w biały płaszcz, szyty złotem, który jej darował, gdy się po raz ostatni z sobą widzieli, potem przewiozła zwłoki, na zakrytym wozie, do Rzymu i tam je złożyła w grobowcu Domicjana, wśród ogrodów. Uczyniwszy to, dzień cały pozostawała w tem miejscu żałoby, gdy zaś nadszedł wieczór, wstała i udała się do katakumb.

Epafrodita i Sporusa znaleziono w willi nieżywych; leżeli obok siebie, a pomiędzy nimi opróżniona puszką złota. Przygotowana przez Lokustę trucizna dla Nerona wystarczyła na obu.

Tak umarł Neron w trzydziestym drugim roku życia, właśnie w rocznicę dnia, w którym kazał zamordować Oktawję. Ponieważ zginął w miejscu ustronnem, niemal bez świadków, a do grobu złożony został również tajemniczo, bez wymaganej zwyczajem pompy, więc w umyśle ludu rzymskiego, najłatwowierniejszego ze wszystkich ludów na świecie, powstały wątpliwości co do jego śmierci. Utrzymywano, że dostał się do portu Ostji, a stamtąd uciekł na okręcie do Syrii, więc też go z dnia na dzień w Rzymie oczekiwano. Przez lat piętnaście nieznana ręka zdobyła grób jego i wia-

tami. Również przez długie lata wystawiano niekiedy na mównicach jego wizerunki i czytano jego proklamacje, jak gdyby żył jeszcze i miał wrócić potężny na zgubę swych nieprzyjaciół. Jeszcze po upływie lat dwudziestu pięciu od jego śmierci — według opowieści Swetonjusza — zjawiał się jakiś człowiek u wojowniczych Partów, który mienił się Neronem i długo znajdował wiarę u tego ludu, który szczególną cześć dla pamięci Nerona przechowywał.

Legenda przeszła do chrześcijan. Śty Hieronim, opierając się na kilku wyrazach Śgo Pawła, przedstawił Nerona, jako Antychrysta, a przytąmniej jako jego poprzednika. Sulpicjusz Sewerus twierdzi, że Śty Marcin przepowiedział w swych djalogach, iż przed końcem świata, Neron ukaże się na Zachodzie, gdzie przywróci część bałwanów, a Antychryst na Wschodzie, gdzie odbuduje kościół i miasto Jeruzalem, które ma być stolicą jego państwa. Ten ostatni ma potem ogłosić się Mesjaszem, wydać wojnę Neronowi, pozbawić go życia i władzy. Wreszcie Śty Augustyn zapewnia, że za jego życia, to jest na początku V wieku, utrzymywano jeszcze, że Neron wcale nie umarł, ale ukrywa się w miejscu niedostępnem, skąd ma kiedyś powrócić z całą swą siłą i okrucieństwem, dla odzyskania straconej władzy.

Dziś jeszcze, w całym tym długim szeregu cesarów, z których każdy przyczynił się do wzbogacenia zbioru pomników Rzymu, najpopularniejszy jest Neron. Istnieje dom Nerona, łaźnia Nerona, wieża Nerona. W Bauli pewien winiarz pokazywał mi willę Nerona.

Pośrodku odnogi Bai, majtkowie moi zatrzymali się właśnie w tem miejscu, gdzie załonąć

miała przygotowana przez Nerona dla Agrypiny triemna. Gdym wracał do Rzymu drogą Nomen-
tańską, wieśniak pokazywał mi miejsce, przez któ-
re przebywał Neron, udając się Serpentary; wśród
zwałisk, rozrzuconych po tej wspaniałej dolinie,
pokazał mi ruiny willi, w której zabił się Neron.
Gdym jechał z Florencji, woźnica mój ukazał mi
jakieś gruzi, leżące z prawej strony sklepienia
de la Sorta w Rzymie, mówiąc:

— To grobowiec Nerona.

Niechże teraz kto wytłumaczy zapomnienie
w tychże miejscach imion Tytusa i Marka Aurel-
jusza.

Neron tyran, Neron okrutnik, Neron morder-
ca, rozpustnik, szatan wcielony, żyje wciąż w pa-
mięci ludu — a czcigodne imiona Tytusa i Marka
Aureljusza są zapomniane.

Czem to wytłumaczyć?

KONIEC

x 66